



Fotoreportaż Waldemara Stępnia z monasteru w Jabłecznej

str. 8

Specjalna biblioteka
Odnawa

Bronisław Kowalski
Marian Buczek

str. 3

NA ONKOLOGII

Wacław Labędzki

str. 9

Kammena

LUBLIN 28 IX 1980 NR 20 (714)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Magister do wyższych celów

Aleksander Szerszeń

W TYM roku w Lublinie prawie czterystu młodych ludzi chciało zostać nauczycielami. Każdy miał dyplom uniwersytecki, a wielu zamysł główny — zdobyć pracę w mieście. Garstka tylko od razu wybrała wieś, lecz ponad trzystu zamysliło sobie absolutnie uniknąć wygnania z miasta.

Trzy setki naiwnych usłyszały w kadrach Kuratorium Oświaty i Wychowania: „W Lublinie żaden nauczyciel nie jest potrzebny”. W praktyce oferowano jedynie posadę na wsi. Po takich wieściach przy biurku naczelnika kadr wybuchały emocje: „Po co kończyłem wyższe studia? Żeby na wieś iść?” A naczelnik od takich pytań dostawał palpacji serca i krew go zalewała na niewdzięczność magistrów. Nawet musiał zrobić sobie EKG.

Powiedział on tak:

— Brakuje nauczycieli na wsi, a młodzi, jak cios życiowy, jak klęskę przyjmują konieczność porzucenia domu rodzinnego. Rękami i nogami bronią się przed powrotem tam, skąd na studia przyszli. Rodzice niektórych zmieszczanieli od połowy życia i taki

sam los przeznaczyl swym dzieciom, a teraz posadzają naturę, że zatacza błędne koło. Przygnębiający to nawrót i perfidny dla nich. Każdy argument jest dobry przed wsią — małżeństwo i stan wolny, posiadanie mieszkania i jego brak, rozeznanie w życiu wsi i jej nieznajomość, dziecka i bezdzietność.

Zgnębiony naczelnik rozpoznał ideę magistrów: traktują oni siebie jako przeznaczonych wyłącznie do wyższych celów; nauczanie dzieci wiejskich to cel niższy, a dla większości natchnionych pedagogicznie za niski, by doń zejść dobrowolnie, z wyboru.

Przeznaczenie — przeznaczeniem, a zmora szkoły na wsi straszy kilkoma odrażającymi obliczami. Najpierw zagubieniem w terenie i niższym standardem życia. Dalej: zaściankowa społecznością i utratą aspiracji. Głównie zaś — zaprzepaszczeniem szans wymarzonego awansu społecznego i kulturalnego, jaki daje miasto. Różne więc sady mogą wyrażać kadrowcy kuratoriów, lecz by powyższe widma przezwyciężyć, trzeba młodemu człowieko-

Dokończenie na str. 6



Fot. W. Stępień

PROGNOZA POGODY

Maria Bechzyc-Rudnicka

DATA 28 sierpnia 1980 roku oznamca w annelach lubelskiej sceny dramatycznej jeden z tych dni dobrej nadziei, jakie otwierają perspektywę na realizację nowych cennych inicjatyw.

Owego dnia, skoro, w samo południe, widownie Teatru im. Juliusza Osterwy wypełnił cały jego kolektyw wraz z osobami reprezentującymi placówki kulturalne Lublina; przedstawiciele wojewódzkich władz partyjnych i administracyjnych dokonali aktu oficjalnego przekazania dyrekcji i kierownictwa artystycznego teatru Ignacemu Gogolewskiemu.

Już sam pomysł organizacyjny zebrania i nobliwy charakter przemówień inauguracyjnych sezon kulturalny, tudzież nowy okres dyrekcyjny w Teatrze im. Osterwy wywarły na obecnych szczególnie korzystne wrażenie, bo co tu ukrywać — przeważnie zmianie kierownictwa naszej zasługującej placówki towarzyszyły niestety animozje, urazy, poczucie krzywdy, w dwóch wypadkach nawet żałoba.

Tym razem zaś procedura powierzenia teatru nowemu dyrektorowi odznaczała się, rzecz można, wręcz elegancją. Ustupający ze stanowiska dyrektora (zpożostaniem w zespole ar-

tystycznym) utalentowany aktor Zbigniew Szejnman otrzymał od wojewody lubelskiego podziękowanie na piśmie za pięcioletnie trudy i osiągnięcia, a następnie, również publicznie w reprezentatywnej oprawie, otrzymał nominację Ignacy Gogolewski, wraz z ciepłymi wyrazami wdzięczności za przyjęcie propozycji udzielenia swych bogatych doświadczeń artystycznych teatrowi lubelskiemu.

Chciałabym wierzyć, iż relacjonowana wyżej uroczystość stanie się modelem na podobne okazje — i nie tylko w Lublinie.

Tak więc, mimo że przeżywalimy

wszyscy trudne dni sierpniowe, Teatr im. J. Osterwy rozpoczął pourlopową działalność pod dobrymi auspiciami.

Pięć lat temu, kiedy opuścił Lublin dyr. Kazimierz Braun, sytuacja lubelskiego teatru była, mówiąc bez przesady — krytyczna. Przede wszystkim pociągnęło za Braunem do Wrocławia bodaj sześciu czy siedmiu aktorów „pierwszoplanowych”, czyli że zespół artystyczny pokaźnie zbiegł — trzeba było go na gwałt odbudowy-

Dokończenie na str. 6-7

z notatnika

17.IX. Postulaty (jaką karierę robi to słowo) padają i pod adresem samej „Kamery”. Dziś spotkałem się z delegacją zarządu lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich w składzie: Zbigniew Strzałkowski, Stefan Wolski, Józef Zięba, a ponadto Henryk Pajak, który jest i prezesem oddziału i kierownikiem działu literackiego naszego pisma. Ustaliliśmy wspólnie, że dwie strony każdego numeru „Kamery” będą poświęcone twórczości literackiej. Odpowiedzialność przejmie całkowicie Henryk Pajak. W związku z tym proszę wszystkich piszących, aby bezpośrednio do niego przysyłali teksty i tam też kierowali ewent. pretensje.

W piśmie, uznaliśmy, staje się coraz cieżniej. Na dwunastu stronach, ukazujących się raz na dwa tygodnie, trudno pomieścić wiele interesujących tekstów. A jest przecież i sam zespół redakcyjny, dla którego pismo stanowi miejsce pracy. Jedyne, dlatego ponowimy starania o przekształcenie „Kamery” w tygodnik. Tygodniki mają już dwa sąsiednie województwa, trzeci powstaje w Chełmie. Dlaczego Lublin ma być pokrzywdzony? „Kamera” wychodzi od 1933 roku. Prosta przyzwoitość nakazuje, aby tę tradycję szanować nie tylko z okazji kolejnych jubileuszy.

W godzinach popołudniowych uczestniczyłem dziś, jako lektor KW PZPR, w otwartym zebraniu oddziałowej organizacji partyjnej zakładu zespołów podwoziowych FSC. Padło wiele gorzkich słów zarówno pod adresem kierownictwa FSC jak i władz miejskich. A krytyka objęła bardzo szeroki wachlarz problemów. Nie wymieniam nazwisk dyskutantów, ale oto kilka cytatów:

— Za to, co się stało w kraju, my członkowie partii, szeregowi członkowie partii, cierpimy tu, na dole. A przecież mówiliśmy, ostrzegaliśmy, że źle się dzieje, że szerzy się prywatność, że ludzie którzy spośród nas wyrosli, oderwali się od mas, że często wykorzystywali swoje stanowiska dla własnych celów. Nie chciano nas słuchać. Wnioski z dyskusji przedjazdowej nie były realizowane.

— Kto i komu przyznaje nagrody? Taki jeden nie przyjdzie raz, drugi do roboty, potem pracuje w godzinach nadliczbowych za co dostaje pieniądze ekstra i temu przyznaje się jeszcze premie.

— Przyznawano działki na budowę domków jednorodzinnych. Kto te działki otrzymywał? Robotnicy? A jak wygląda opieka zdrowotna w naszym zakładzie? Nie ma kardiologa. Nie ma reumatologa. A u nas niektórzy pracują w wodzie, przy oleju.

— Rozmawiamy o pracy. Ale do tej pracy trzeba stworzyć należyte warunki. Mistrz musi być mistrzem. Mistrzem powinno się zostać po piętnastu latach praktyki, a nie po dwóch.

— Instalowaliśmy kosze na śmiecie. I co? Stały puste, śmieci leżały obok. A z każdej szafki trzeba by robić kasy pancerne. Co jest w tych szafkach? Syf. Porządek trzeba zaczynać od siebie. Niektórzy tak dbają o czystość jakby im zależało, aby było źle.

— Wywieśza się listę nagrodzonych. Ale ile taka lista wisi? Dzień? Godzinę? Nie dyskutujemy jak w koleżce sklepowej.

— Mamy przekazać 260 zawieszek na dobę. Przekazujemy 230. Plan nie jest rzetelnie realizowany. A jaka jest u nas fluktuacja kadr? W tym roku odeszło z fabryki 1400 osób.

— A dlaczego tyłu odeszło? Może nad tym warto się zastanowić?

— Postulaty zarządy są w trakcie realizacji. 42 postulaty skierowano do redakcji, 8 do władz miejskich i wojewódzkich, 20 do władz centralnych. Owszem dyskutujemy, ale przede wszystkim pracujemy.

— A co zrobić z tymi, którzy nie pracują i nie chcą pracować? Prowadzi się z nimi rozmowy, namawia do roboty, a oni tylko chleją wino, a czasami napadają na ludzi. W sobotę zaatakowali naszego pracownika. Zabrali mu 20 złotych. Trzeba wypowiedzieć walkę tym nierobom.

Scierali się poglądy sali i „prezydium”, ale w gruncie rzeczy wszystkim chodziło o dobro zakładu.

19.IX. Przed kilkoma dniami odbyło się Plenum KW PZPR w Lublinie. Dyktują nad referatem Egzekutywy KW była raczej letnia. Do najciekawszych wypowiedzi należy zaliczyć tę, która padła z ust Ludwika Paczyńskiego, aktora Teatru im. J. Osterwy. Powiedział on m. in.: „Sprawiedliwość społeczna wymaga tego, aby do Skarbu Państwa trafiały nie oszczędności czy procenty z rent i emerytur tych wspaniałych starszych ludzi, którzy — jak wiemy z prasy — opowiedzieli się za tym, ale aby nastąpiła zarówno nacjonalizacja jak i konfiskata dóbr tych wszystkich, którzy do milionów doszli kosztem pieniędzy społecznych. A demokracja życia wewnątrzpartyjnego, o której się teraz mówi, pozwala przypuszczać, iż powinny być tym objęte osoby, które do tej pory, z racji swych stanowisk, były nietykalne i tak niedostępne, iż potrafiły uzurpować sobie prawo do łapania podstawowych praw, norm współżycia społecznego. Byłi ponad wszystkim, co jest, przypuszczam, dla wyznawców światopoglądu materialistycznego niezrozumiałe, jako że przecież bogów nie ma, prawda?”

Paczyński nie wymienił żadnych nazwisk. I dobrze, bo wszelkie nadużywanie władzy, wykorzystywanie stanowiska do osobistych celów musi być szczegółowo zbadane. Sam wiem, że ten czy tamten buduje sobie domek lub willę, ale przecież z góry nie mogę upatrywać w nim szubrawca! Może wygrał w Toto-lotka? Może ma bogatą rodzinę pod gruszą? Wujka w Ameryce? A może po prostu jest to cel jego życia i temu celowi podporządkował swoje długoletnie, uczciwe, podkreślam — uczciwe, działania? Jeśli wobec kogokolwiek są jakieś pretensje, podejrzenia, każdy wypadek musi być indywidualnie zbadany. Nie dajmy się zwariować!

Mówił o tym i w Krakowie Krystyna Dąbrowa, tamtejszy I sekretarz Komitetu Krakowskiego PZPR. Pozwól sobie zacytować jego słowa wypowiedziane na Plenum KK: „Jesteśmy winni szybką i szczerą odpowiedź na zarzuty personalne przeciwko komukolwiek byłyby wysuwane. Zarzuty, które się potwierdzą, będą prowadziły do wyciągnięcia konsekwencji kadrowych. Nikt, kto nadużył swego stanowiska do osobistych korzyści i żarliwego bogacenia się, wykazał niegospodarność, zaniedbywał obowiązki wobec zadań

wobec ludzi powierzonych swej odpowiedzialności — nie może uniknąć konsekwencji na miarę pozycji, którą zajmował i na miarę stopnia przewinięcia. Jednocześnie nie będziemy szczędzić obrony tym uczciwym działaczom, których spotkały i spotkać mogą zarzuty krzywdzące, wynikające ze złej woli. Nie wolno nam ulegać demagogii i próbom rozróby, pozwalać na polowanie na czarownicę”.

W Lublinie Prezydium WRN już się zajęło pewnymi, żeby rzecz delikatnie, nieprawidłowościami. Badania wykazały, że 231 właścicieli oddanych do użytku w latach 1978—1979 jednorodzinnych domków mieszkalnych nie opuściło dotychczas zajmowanych lokali. Odpowiednie służby Urzędu Miejskiego nie ustaliły miejsca dotychczasowego zamieszkania dalszych 71 właścicieli przekazanych domów. Tak przynajmniej napisał dzisiejszy „Sztandar Ludu” i to ostatnie stwierdzenie co nieco mnie dziwi. Każdy z obywateli ma przecież dowód osobisty, w którym znajduje się odpowiednia rubryka mówiąca o miejscu zamieszkania. Po przeprowadzce dokonuje się nowego wpisu, ale stare nie znika. Owych 71 właścicieli nowobudowanych domków nagle zmieniło dokumenty? Wszyscy? Co do jednego?

Bardzo jestem ciekaw, jak prezydent Zieliński będzie dalej działał w kierunku realizacji tych postanowień Prezydium WRN, o których informuje gazeta. Na razie Urząd Miasta „uwziął” się na lokal „Kamery” przy ul. Skłodowskiej 2; lokal w którego remont i adaptację nasza matka — RSW „Prasa” włożyła dobrych kilkaset tysięcy złotych. Dziwna rzecz, że przedtem, kiedy „Kamera” przez kilka lat mieszła się w półsuterenu przy ul. Narutowicza, nikt się lokalem nie przejmował. Irek Kamiński do dziś narzeka na reumatyzm, ale skarży się jedynie niżej podpisanemu...

Lokal zastępczy, w którym władze miasta pragną umieścić redakcję, obejrzelśmy kolegiennie. Pracujące tam miłe panie nie musiały go specjalnie obrzydzać (a obrzydzały!). Argumentów przeciw mamy więc sporo. Jeśli nasz obecny lokal rzeczywiście jest potrzebny dla celów wyższego rzędu (?), oczekujemy innych propozycji. Może w miarę postępujących kontroli znajdzie się jakaś miła... willa? Jedną — piszę to pół żartem — mamy nawet na oku!

21.IX. Piątkowe zebranie nadzwyczajne lubelskiego środowiska dziennikarskiego było w przebiegu podobne do tego zebrania, które odbyło się przed 24 laty. Trwało dziewięć godzin i zakończyło się po północy przyjęciem rezolucji, w której zawarte jest stanowisko wobec ostatnich wydarzeń jak też przedstawione są wnioski i postulaty dotyczące zagadnień i ogólnych i bardziej szczegółowych, dotyczących spraw samego środowiska. Gwoli uczciwości (a o uczciwości dziennikarskiej mówi się teraz sporo) dodam, że około jednej trzeciej uczestników zebrania nie dotrwało do końca, nie brało więc udziału w głosowaniu nad poszczególnymi punktami rezolucji. A nad

każdym punktem głosowanie odbywało się osobno i bodaj tylko dwa punkty przeszły jednogłośnie, w tym punkt o jak najszybszym zwołaniu walnego zjazdu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

„Kamera” drukuje rezolucję na 10 stronie.

O samym zebraniu można powiedzieć to samo, co stwierdził sprawozdawca „Gazety Południowej” informując o pięciogodzinym (a więc krótszym od naszego o cztery godziny!) spotkaniu kolegów z Krakowa: „To było zebranie o wysokiej temperaturze uczuć, która rosła w miarę rozwijającej się dyskusji. [...] Czy czas spędzony na wymianie poglądów będzie owocny, pokaże przyszłość. Dzisiaj bowiem nie słowa, lecz fakty mają największą moc w argumentacji”.

I sekretarz KW PZPR, Władysław Kruk, obecny na zebraniu, stwierdził w swej wypowiedzi, że zgadza się w dziesięćdziesięciu kilku procentach z opiniami dyskutantów. Zabrzmiało to bardzo optymistycznie. Szkoda jednak, że w spotkaniu nie uczestniczyli przedstawiciele wojewódzkich instancji partyjnych z sąsiednich województw. Zamość i Biała Podlaska mają swoje tygodniki, wkrótce ma powstać tygodnik w Chełmie. Sprawy, o których była mowa, powinny i na łamach tamtejszej prasy znaleźć szersze odzwierciedlenie. Ale tu już rzucam kamyk do cudzego ogródka.

Znamienne, że na zebraniu lubelskim nie było wczorajszych żelaznych dyskutantów. Przeważnie milczeli ci, którzy przedtem przedstawiali swe racje. Tym razem stali się oni słuchaczami. Z trybuny przemawiali przeważnie młodzi dziennikarze i, rzecz charakterystyczna, nie z redakcji zatrudniającej najwięcej piszących.

Nasuwa mi się pewna refleksja, która na pewno nie będzie popularna. Wypowiadano się krytycznie pod adresem cenzury. Nie mam zamiaru bronić tej instytucji, która jednak przecież sama różnego rodzaju instrukcji nie opracowywała i jedynie realizowała linię sprecyzowaną w zupełnie innym budynku. Ale przecież i dawniej o wielu sprawach można było napisać! Ja na przykład dwa czy trzy lata temu poruszyłem na tym miejscu problem mieszkań ludzi, których skierowano do sąsiednich województw. Tam otrzymali mieszkania, nie likwidując bynajmniej mieszkań w Lublinie. Oddźwięku żadnego wprawdzie nie było, ale cenzura nie skreśliła mi żadnego słowa. (A na marginesie — problemem tym trzeba się zająć!) Podobnych przykładów mógłbym przytoczyć znacznie więcej. Często cenzor tkwił w samym piśmie, albo tym, który kwalifikował materiał do druku w samej redakcji. Piszę o tym, bo i ja nie jestem bez winy. Czasy się zmieniają. Ludzie również. Ale nie zawsze ten, kto krzyczy najgłośniej, ma stuprocentową rację!

M. A. Jaworski

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechcyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Henryk Pajak (kierownik działu literackiego), Maciej Podgórski, Waldemar Stepien (fotoreporter) Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Informacji o warunkach prenumeraty udziela Oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 78 zł. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 80-658 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki w godz. 10—12 i piątki w godz. 14—15.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch”, Kombinat Wydawniczo - Kolportażowy w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unieka 4.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-99, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

PL ISSN 0137-7184
Nr indeksu 2623F

ODNOWA

Bronisław Kowalski, Marian Buczek

W poniedziałek, 8 września, telefonujemy do FSC, do przewodniczącego Komitetu Przedstawicieli Załogi, Stanisława Daniela; okazuje się, że w najlepszym momencie — właśnie wrócił z Gdańska. Umawiamy się na wizytę w fabryce następnego dnia.

9 WRZEŚNIA. W holu fabryki czekamy na przedstawicieli FSC. Obok nas inni ludzie stoją i czekają na nich. To są delegaci z LZNS, po chwili dowiadujemy się, że przybyli również delegaci innych załóg. Chcą dowiedzieć się, co robić teraz, gdy strajki zakończone, gdy porozumienia MKS-ów i komisji rządowych wyznaczyły nowy etap robotniczej demokracji. Co robić tu, w lubelskich zakładach pracy. Na powrót tych delegacji czekają załogi. Rozmawiamy na razie o tym, co już stało się w LZNS, jak oni myślą o dotychczasowych i o nowych związkach zawodowych, czego oczekują.

— Trzeba teraz nowego Mickiewicza albo Słowackiego, żeby napisał sztukę o tym, co się dzieje — mówi jeden z robotników.

Gdy przychodzi Stanisław Daniel, udajemy się wszyscy przed biurowiec, na ławkę w pobliskim skwerku. Jest ciepło. Jeszcze nie ma pomieszczenia dla komitetów założycielskich (tak teraz nazywają się komitety strajkowe) niezależnych samorządnych związków zawodowych.

— Biuro pod chmurką — mówi St. Daniel i zwraca się do zgromadzonych robotników: — Chcę panów poinformować, że jutro zbieramy się wszyscy na pierwszym posiedzeniu międzyzakładowego komitetu robotniczego w Świdniku o godzinie szesnastej.

— Możemy tam przyjechać? — pytamy robotników.

— No, na pewno — odpowiada St. Daniel. — Jesteście pożądanymi, bo załogi w tej chwili żądają informacji, a informacja jest niepełna. Ludzie się denerwują. Od nas się wymaga solidności w wykonywaniu zadań, a dla czego nam się nie daje tego, co nam się słusznie należy? Nasza dykcja nie bojkotuje nas, ale najlepszym dowodem, że mamy trudności, jest to, iż musimy z wami tu rozmawiać. A porozumienia mówią wręcz co innego.

W „biurze” na lawce, pod drzewem, przystępują do pracy. Krótko o strajku i o powstaniu komitetu robotniczego opowiadają robotnicy z LZNS. Przedstawiciele FSC relacjonują przebieg wydarzeń u siebie.

— Byliśmy na Wybrzeżu — mówi St. Daniel. — Dostaliśmy trochę materiałów, ale od momentu podpisania porozumień upłynęło tak niewiele czasu i dopiero jest projekt statutu, tworzonego na gorąco.

Czytają uchwałę robotników FSC. Wynika z niej, że załoga wybrała swych przedstawicieli 12 lipca. Pełnili oni społeczną funkcję do 3 września.

W lipcu przedstawiciele zawarli z dyrekcją porozumienie o realizacji zgłoszonych postulatów — część została wykonana, reszta zgłoszona do zrealizowania. Przez dwa miesiące odbywały się zebrania na wydziałach produkcyjnych i pomocniczych z przedstawicielami dyrekcji, zebrania postulujące udzielenia poparcia dla strajkujących na Wybrzeżu, a także spotkania z przedstawicielami władz miejskich i wojewódzkich. Działalność przedstawicieli załogi — głosi uchwała — była niezbędna z powodu braku zaufania załogi do istniejącej Rady Zakładowej. Po zakończeniu strajków na Wybrzeżu i podpisaniu przez komisje rządowe i MKS-y porozumień, przedstawiciele załogi FSC przekształcili się w Załogicielewski Komitet Robotniczy. Teraz naczelne zadanie ZKR-u to przeprowadzenie wyborów do niezależnych samorządnych związków zawodowych, co jest całkowicie zgodne z postulatem załogi.

Do „biura” przybywają robotnicy z innych zakładów. Mówią krótko o organizacji komitetów założycielskich. Nie ma czasu. Muszą wracać do roboty. Mało słów agitacji, bez przemówień wszyscy się rozumieją. Jeden dodaje na koniec:

— Jest taka sytuacja, że musimy koniecznie odnowić związki zawodowe. Jestem o tym przekonany.

„Biuro” kończy pracę.

Środa, 10 września. O godzinie 16-tej wchodzimy na salę Klubu Techniki i Racjonalizacji w Świdniku. Prawie wszystkie miejsca już zajęte. Ludzie donoszą krzesła. Przy długim stole zmieściła się tylko część obecnych. Tłok. Ktoś decyduje, że ci którzy stoją, zamienią się potem z siedzącymi. Przedstawiamy się robotnikom. Nie wszyscy są zrazu zdecydowani, by prasa pozostała. Jest też obecny przedstawiciel WRZZ i CRZZ w jednej osobie. Odbywa się głosowanie. Teraz zdecydowano jednogłośnie, w jawnym głosowaniu, że prasa może pozostać, a co do przedstawiciela CRZZ pozwolono mu być obecnym tylko przy dyskusji.

Jest godzina 16.30. Cichnie gwar. Zebranie delegatów komitetów robotniczych rozpoczyna się od przedstawiania wszystkich delegacji. Lista wydłuża się. Przybywają następni przedstawiciele. Nie ma już miejsc, trzeba stać w drzwiach, w korytarzu. Niewielka sala ledwie mieści około stu osób. Reprezentują oni 26 zakładów pracy.

— Już wszyscy się znamy i sądzę, że można zacząć — mówi przewodniczący zebrania Zygmunt Karwowski, robotnik z WSK Świdnik.

Po kolei wstają przedstawiciele poszczególnych załóg. Mówią krótko o lipcowych strajkach w zakładach Lubelszczyzny. Rozpoczyna przedstawiciel WSK. Nie musi długo opowiadać, sprawy WSK są na ogół znane. Krótko też mówi Julian Dziura, przedstawiciel FSC. Znacznie dłuższe jest przemówienie robotnika z Lokomotywni Lublin, Czesława Niezgody.

Od pierwszych padających tu słów okazuje się, że to nie jest zebranie, jedno z tych, jakich wiele znano dotychczas, to nie jest jakaś tam „nasiadówka”, ale zgromadzenie zwołane po to, by powiedzieć sobie całą prawdę o dotychczasowej działalności związków, i o tym, jak mają wyglądać nowe, posiadające autentycznie robotniczy, demokratyczny charakter.

Słowa są proste, nie piękne, przemówienia nie spisane na kartkach, nikt nie wyraża się z wielką elokwencją, lecz po prostu i zwyczajnie. Nie widać, żeby słuchano mówiących z łaski, z nudów, lub z obowiązku. Każdy ma coś ważnego do powiedzenia.

Na razie słuchają w skupieniu lubelskiego kolejarza:

— Chciałem poinformować, że kolejarze lubelscy w wyniku czterodniowego strajku i w wyniku wysuniętych postulatów spowodowali rozwiązanie istniejącej rady w oddziale związków zawodowych. Pomimo wszystkich trudności zdołaliśmy 18 sierpnia wybrać radę niezależną, której jestem przewodniczącym. Pracujemy oficjalnie, ankiety żeśmy przygotowali, ale jeszcze żeśmy ich nie rozprawdzili. Stwierdzamy, że około 95. procent załogi zapisze się. Uważam, że wypełnienie tych ankiet będzie poparciem naszej działalności.

My się tutaj zebraliśmy, żeby wymienić doświadczenia, żeby służyć pomocą, ale również koniecznym byłoby dzisiaj wybrać regionalny komitet założycielski niezależnych związków zawodowych na całym naszym terenie, który byśmy mogli potem potraktować jako wojewódzką radę samorządnych związków zawodowych.

Chciałem również nadmienić, że rozwija się działalność szkodliwa odnośnie naszego nurtu, odnośnie wydanych porozumień i zgody wydanej na tworzenie związków. Chciałbym te słowa skierować do obecnego kolegi z CRZZ. Mówi się nam, że jeśli przejdziemy do niezależnych związków, to wtedy ani wczasów mieć nie będziemy, ani sanatoriów i pożyczek.

Znamy echa prasy światowej, która w wielu wypadkach zaczyna uważać, że w kraju jakieś elementy antydemokratyczne chcą dochodzić do władzy. To jest nieprawda, bo my chcemy budować Polskę Ludową. Chcemy, żeby nasza Polska rosła w siłę, ale chcemy ją budować sprawiedliwie. Żeby nie robić jak do tej pory było, że związki zawodowe pracowały tylko w oparciu o wytyczne, że nie starano się chronić interesów pracownika, robotników, ludzi pracy w Polsce, nie zajmowano się również problemami takimi, jak koszty utrzymania. Doprowadziło się do tego, że różnice w poborach dochodzą do piętnastokrotnych. To jest sytuacja bardzo szkodliwa. Taka jest opinia nasza odnośnie CRZZ, która od pewnego czasu pracowała nie dla nas.

Inaczej postaramy się zorganizować nasze przyszłe samorządne związki zawodowe. Rola związków sprowadza się do tego, żeby ich przedstawiciele bronili ludzi pracy, występowali w ich imieniu, żeby o nich dbali, czuwali nad tym, by im się krzywda nie działa, żeby mogli pracownicy do kogoś się zgłosić i żeby ktoś się o nich upomniał. Sprawy pożyczek, wczasów, zapomóg, sprawy socjalne albo kulturalno-oświatowe — moim zdaniem, nie ma sensu, żeby się tym parali związki zawodowe. To wszystko trzeba przekazać do administracji, do działu socjalnego. Związkowcy mają tylko nadzorować. Będę kończył, bo kolega przewodniczący daje mi znak, że czas płynie, ale apelowałbym, żeby teraz solidnie pracować.

To dziwne, ale po tym przemówieniu nikt nie klaszcze.

— Nie po oklaski tu przyszliśmy — powiedział ktoś przed chwilą.

Następni przedstawiają swoje sprawy. W PTSL 5 września były wybory i w obecności dotychczasowej Rady Zakładowej ponad 500 pracowników opowiedziało się za tworzeniem nowych związków, przeciwnych było 60. Podobne relacje składają przedstawiciele „Agrometu”, Zakładu Techniki Biurowej, Zakładu Naprawy Transportu Samochodowego, Zakładów Naprawy Mechanizacji Rolnictwa, Lubartowskie Mechaniczne Zakłady Produkcyjne reprezentuje sekretarz Rady Zakładowej. Tam rada wyszła w czasie strajku naprzeciw postulatowi załogi. Głos zabierają delegaci lubartowskiej „Unitry”, z Centrum Radiowo-Telewizyjnego, z „Elektromontażu”, z „Polfy”, z Instytutu Nawozów Sztucznych w Puławach. Niektóre wypowiedzi przeciągają się.

— Prosimy się skracać!

— Myśmy rzadko mieli możliwość głosu — usprawiedliwia ktoś z głębi sali. — To teraz, gdy ktoś się dorwie, chce się pożalić, bo jesteśmy sami swoi.

Czas wypowiedzi zostaje skrócony do dwóch minut. Pozwolono jednak na dłuższą wypowiedź pracownikowi Regionalnego Związku Spółdzielni Inwalidów. Mówi on o drastycznych przejawach społecznej niesprawiedliwości w spółdzielni, o bezprawiu i samowoli jednego z prezesów, o niesprawiedliwej proporcji plac. Ma w posiadaniu dokumentację na te tematy.

— My, robotnicy, widzimy, że źle się

Dokończenie na str. 10

Uchwała Rady Państwa

z dnia 13 września 1980 r. w sprawie rejestracji nowo powstających związków zawodowych

W celu umożliwienia powstającym obecnie związkom zawodowym dokonania rejestracji poza rejestrem prowadzonym przez Centralną Radę Związków Zawodowych — do czasu uregulowania zasad i trybu tej rejestracji w drodze ustawowej — Rada Państwa postanawia, co następuje:

Par. 1
Komitety założycielskie nowo powstających związków zawodowych, które nie dokonają wpisania tych związków do rejestru prowadzonego przez Centralną Radę Związków Zawodowych, mogą dokonywać rejestracji związku w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie.

Par. 2
Organ uprawniony do reprezentowania związku zawodowego zgłasza wniosek o dokonanie rejestracji na piśmie.

Par. 3
1. Wniosek powinien zawierać następujące dane:
1) nazwę związku zawodowego i jego siedzibę,
2) podmiotowy i terytorialny zakres działalności związku zawodowego,
3) imiona i nazwiska oraz miejsce zamieszkania osób wchodzących w skład organu uprawnionego do reprezentowania związku zawodowego.

2. Do wniosku należy dołączyć:
1) uchwałę komitetu założycielskiego o powołaniu związku zawodowego oraz organu uprawnionego do jego reprezentowania (par. 2);
2) listę członków komitetu założycielskiego, obejmującą ich imiona i nazwiska oraz miejsce zatrudnienia;
3) statut w dwóch egzemplarzach.

Par. 4
Sąd Wojewódzki w Warszawie wydaje postanowienie o dokonaniu reje-

stracji nowo powstającego związku — po stwierdzeniu, że uchwalony przez komitet założycielski statut nie jest sprzeczny z Konstytucją Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i innymi przepisami prawa.

Par. 5
Z chwilą dokonania rejestru związków zawodowy uzyskuje osobowość prawną.

Par. 6
Od postanowienia Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, odmawiającego dokonania rejestracji związku zawodowego, służy odwołanie do Sądu Najwyższego.

Par. 7
1. W postępowaniu w sprawach o dokonanie rejestracji stosuje się odpowiednio przepisy Kodeksu Postępowania Cywilnego o postępowaniu nieprocesowym.
2. Postępowanie w sprawie dokonania rejestracji jest wolne od opłat sądowych.

Par. 8
Przepisy par. 1—7 stosuje się odpowiednio do nowo powstających regionalnych zrzeszeń związków zawodowych.

Par. 9
W przypadku, gdy po dokonaniu rejestracji związku zawodowego albo regionalnego zrzeszenia związków zawodowych, jego działalność lub struktura okaże się sprzeczna z obowiązującymi przepisami prawa, Sąd Wojewódzki w Warszawie postanowi o unieważnieniu dokonanej rejestracji. Od postanowienia tego służy odwołanie do Sądu Najwyższego.

Par. 10
Przepisy uchwały nie mają zastosowania do zrzeszenia związków zawodowych w Polsce oraz do związków zawodowych zarejestrowanych w trybie ustawy z dnia 1 lipca 1949 r. o związkach zawodowych (Dz. U. Nr 41, poz. 293).

Par. 11
Uchwała wchodzi w życie z dniem 15 września 1980 r.
Przewodniczący Rady Państwa
Henryk Jabłoński

Mały uniwersytet w Krzemieńcu

Jan Ciechanowicz*)

1 PAŹDZIERNIKA 1805 roku założone zostało Gimnazjum Wołyńskie w Krzemieńcu, najważniejsza po Uniwersytecie Wileńskim (i podległa jemu) uczelnia w składzie Wileńskiego Okręgu Naukowego. Stało się to możliwe dzięki energii inicjatora tej szkoły, wizytatora szkół guberni podolskiej, wołyńskiej i kijowskiej — Tadeusza Czackiego. To właśnie on skłonił miejscowe ziemiaństwo do ofiar pieniężnych i za uzbierany w ten sposób kapitał tworzyć zaczął szkoły podstawowe i gimnazja, koncentrując jednak uwagę przezważnie na swym ulubionym dziecku — gimnazjum w Krzemieńcu.

Zebrano na początek, według różnych oszacowań, od czterdziestu kilku do ponad sześćdziesięciu tysięcy rubli. Z biegiem lat napływały oczywiście kolejne datki. Tadeusz Czacki cieszył się opinią czołowego uczonego, publikował rozprawy historyczne. Jego działalność cechowała dynamika oraz niepodważalna dzielność moralna. Starał się polepszyć sytuację miejscowych ruskich włościan, co rząd petersburski pożytywał mu za skrajny jakobinizm. Hugo Kollataj wspominał o Czackim: *Praca jego może się nazywać cudem. Własną gorliwością o oświecenie publiczne potrafił zelektryzować umysły wszystkich tutejszych obywateli.*

Twórcą koncepcji tej uczelni, autorem jej programów naukowych i planów był jednak nie sam Czacki, lecz właśnie dobry jego przyjaciel — Kollataj. Po ośmioletnim austriackim więzieniu poświęcił się urządzaniu tego gimnazjum, które nazywał z łacińska „parva universitas” — mały uniwersytet. Istotnie, nie było w tym przesady, gdyż gimnazjum w Krzemieńcu było faktycznie wyższą uczelnią, tyle że nie posiadającą formalnie akademickiego statutu.

Już w pierwszym roku zapisało się do niej 300 uczniów; później liczba ta podwoiła się. Nauka trwała w zasadzie 10 lat. W pierwszych czterech klasach dominowała nauka języków, w dalszych nauczanie wykroczało poza poziom szkoły średniej. Wykładano m. in. wyższą matematykę, prawo, uczo no ogólnej teorii gramatyki, numizmatyki, bibliografii. Czacki projektował również wprowadzenie wykładów dyplomatyki, paleografii, języków orientalnych, założenie wydziału lekarskiego. Tak więc poziom gimnazjum zbliżył się bezpośrednio do akademickiego. Czacki jednak nie zdecydował się starać o przyznanie szkole krzemienieckiej charakteru akademii. Zmierzał ku temu, aby, jak pisał, *prócz medycyny i teologii nikt nie potrzebował jeździć do Wilna dla nauki.* Ustanowił przy gimnazjum szkoły dla geometrów i mechaników. Zdawał jednak sobie sprawę, iż rozerwanie jedności Wileńskiego Okręgu Naukowego mogłoby mieć skutki nieobliczalne. Rozbudowywano więc szkołę od wewnątrz, poszerzając pracownie naukowe i bibliotekę gimnazjum. Od księcia Józefa Poniatowskiego nabyto księgozbiór liczący przeszło 15 tys. woluminów. Kupiono również zbiór numizmatyczny, kolekcję minerałów oraz wyposażenie dla obserwatorium astronomicznego. Istniał tu gabinet fizyczny i stacja meteorologiczna. Zbiory były stale uzupełniane, nauczycielom regularnie dostarczano najnowsze publikacje zagraniczne z odpowiednich dziedzin wiedzy. Prenumerowano obcojęzyczne pisma, pozwalające miejscowym badaczom śledzić postępy europejskiej nauki. Ogród botaniczny gimnazjum cieszył się powszechną sławą, pracowali w nim i nad nim uczeni: W. Besser i A. Andrzejewski. Zresztą kadra instytucji stanowiili doskonali pedagodzy i uczeni. Pierwszym dyrektorem gimnazjum był eksprofesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, matematyk Józef Czech. Wielu nauczycieli krzemienieckich — E. Słowacki, I. Jaroszewicz, M. Fryczyński — wykładało później w Wilnie, M. Wiszniewski, logik, został profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Profesorami literatury polskiej byli tu: znany poeta i tłumacz Alojzy Feliński, autor hymnu „Boże, coś Polskę...”, oraz pisarz Józef Korzeniowski, krewny wielkiego J. Conrada-Korzeniowskiego.

Od roku 1807 aż do zamknięcia liceum wykładał w Krzemieńcu język i literaturę rosyjską Iwan Aleksandrowski, absolwent petersburskiego Instytutu Pedagogicznego. Rdzenny Rosjanin, człowiek wyjątkowo dzielny moralnie, sympatyzował po cichu z polskim ruchem wolnościowym, z powstaniem listopadowym włącznie (mimo że pozorował lojalność wobec władz carskich). Był dobrym publicystą i jeszcze lepszym nauczycielem, lubianym serdecznie przez młodzież; wiele uczynił, aby przybliżyć Polakom dorobek kulturalny i naukowy Rosji. Z drugiej zaś strony — przetłumaczył i opublikował wielką ilość dzieł polskich na język rosyjski.

Zaznaczmy, że głównym mecenasem i opiekunem Liceum Krzemienieckiego, jak również innych szkół kresowych, był Adam J. Czartoryski, tak blisko przecież związany z Puławami przez ojca, Adama Kazimierza, wspomagającego syna w jego szlacheckim trudzie.



Liceum Krzemienieckie

Fot. M. Kościński

Następcą Czackiego został Filip Plater, który forsował w 1814 roku projekt przekształcenia gimnazjum na uniwersytet. W 1817 roku kolejny dyrektor, Michał Sciborowski, wraz z gronem nauczycielskim postulował założenie w Krzemieńcu wyższej uczelni z trzema oddziałami: nauk fizyczno-matematycznych, nauk moralnych, politycznych i prawnych, literatury i sztuk pięknych z prawem nadawania stopni kandydata, magistra i doktora nauk. Faktycznie chodziło o akt raczej formalny, bowiem wiedza tu zdobyta w rzeczywistości dorównywała uniwersyteckiej. A jednak usiłowania te uwieńczone zostały jedynie częściowym sukcesem. W roku 1818 car Aleksander I, który według K. Marksa i F. Engelsa *pozował na wielkiego wielbiciela narodu polskiego*, przemianował gimnazjum na liceum. Tak więc urzędowo uznano pośredni stopień uczelni — między szkołą średnią a wyższą. Absolwenci Liceum Krzemienieckiego posiadali nad zwyczaj rozległą wiedzę i umiejętności samodzielnej pracy naukowej. W latach 1818—1819 w Warszawie byli jego uczniowie wydawali czasopismo pt. „Cwiczenia Naukowe” o tematyce matematyczno-fizycznej i literackiej. Jedną z bardziej oryginalnych pozycji opublikowanych w tym piśmie była rozprawa Zoriana Dołęgi-Chodakowskiego „O słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem”.

Chlubną kartę w dziejach Liceum Krzemienieckiego zapisała młodzież coraz to na nowo zrzeszająca się w tajnych kółkach samokształceniowych i patriotycznych.

Już w latach 1814—1816 działał literacki Klub Piśmiennictwa. W okresie 1818—1823 funkcjonowało jawne Towarzystwo Uczniów Liceum Wołyńskiego Cwiczących się w Porządnym Mówieniu i Pisaniu, zrzeszające stale około 50 osób. Towarzystwo to, chociaż podlegało kontroli władz, położyło znaczne zasługi dla umysłowego i moralnego ożywienia atmosfery panującej w murach uczelni. Równolegle istniały tu dwa tajne zrzeszenia uczniowskie: kilkunastoosobowe Towarzystwo Naukowe oraz (w latach 1821—1822) filia wileńskiego Towarzystwa Filaretów. Nieco później co czynniejsi i zdolniejsi uczniowie Liceum zrzeszeni byli w tzw. Kółku Patriotycznym pod kierunkiem Jacka Golińskiego. Ze względu jednak na ścisły nadzór policyjny i terror, w roku 1825 wszystkie tamtejsze organizacje młodzieżowe rozwiązały się. Mimo to uczniowie i profesorowie Liceum Wołyńskiego wzięli czynny udział w zrywie patriotycznym lat 1830—1831. Jednym z najaktywniejszych powstańców był m. in. licealista, później znany poeta, reprezentant tak zwanej *ukraińskiej szkoły*

romantyzmu polskiego, Tomasz August Olizarowski.

Po upadku powstania listopadowego Liceum Krzemienieckie uległo likwidacji (1832). Część jego wykładowców i przebogate zbiory naukowe stały się trzonem nowo powstającego uniwersytetu Sw. Włodzimierza w Kijowie (od 1834).

Podobny los spotkał zresztą w tym samym czasie zbiory Wszechnicy Wileńskiej. Z Biblioteki Uniwersyteckiej zabrano do Petersburga około 134 tys. druków i 2 tys. rękopisów oraz niezmiernie bogaty zbiór prawie 103 tys. rycin, pochodzący przede wszystkim z kolekcji Stanisława Augusta i Stanisława Kostki Potockiego. Część zbiorów wileńskich przekazano później uniwersytetom w Charkowie i Kijowie.

Wśród słuchaczy Uniwersytetu Kijowskiego w latach 1834—1862 w różnych okresach Polacy stanowili 50—80 proc. ogółu studentów. Już w roku 1835 powstała tu licząca około 30 osób organizacja tajna na czele z Władysławem Gordonem i Piotrem Borowskim. Nieco później patriotyczną organizację młodzieżową założył znany pisarz T. T. Jeż (pseudonim Z. Miłkowskiego).

Rozwój ideowy tych organizacji, rosnących na dziełach romantyzmu wileńskiego, był tradycyj-

nie trzystopniowy: od samokształcenia poprzez odnowę moralną aż do powstania zbrojnego. Niestety, zaborecy czujnie śledzili, aby do zrealizowania tego trzeciego celu nie doszło.

Minęło kilka lat i z kijowskiego uniwersytetu zaczęły ciągnąć na Sybir coraz to nowe zastępy studentów. Wystarczy wymienił głośną sprawę Sz. Konarskiego z 1839 roku. I w tych murach rzucone w twarz despotyce:

Gdziekolwiek nas wyrok cara zawlecz,
Oszukamy jego dumę;
Poniesiem wszędy prawa człowiecze,
Poniesiem wolności dżumę.

W roku 1843 minister oświaty Rosji, hrabia Uwarow, raportował carowi: *W okręgach kijowskim i białoruskim więcej niż 20 tysięcy młodzieży znajduje się w rękach rządu. Tylu zakładników jeszcześmy nigdy nie mieli od Polski...*

Sprawdziła się przepowiednia Skargi: *Glupcy dzieci wasze uczyć będą!* Bowiem dawnych wysoko wykwalifikowanych nauczycieli pozwaliano, zmieniając ich na tępych czynowników i oficerów w stanie spoczynku.

Demokratyczna Rosja próbowała protestować przeciwko tym akcjom rządu. Uniwersytet charkowski zwrócił się do Aleksandra II z oficjalną prośbą o „wszechprzebaczenie” wobec bratniego słowiańskiego narodu. Wszystko na nic. Aleksander — o którym Engels napisał: *Była to zarzućmiła miernota o horyzoncie umysłowym niższego oficera, człowiek, który okrucieństwo uważał za energię, a kapryśny upór za siłę woli...* — otóż tyran ten nie chciał słuchać o demokratyzacji rządów.

Wracając do Krzemieńca, warto stwierdzić, iż dwudziestokilkuletnie istnienie wspaniałej szkoły na terenach nie posiadających dotąd poważniejszych tradycji cywilizacyjnych miało doniosłe znaczenie. Uczelnia ta spularyzowała wśród miejscowej ludności najnowsze osiągnięcia naukowe swej epoki, wykształciła wielotysięczne zastępy inteligencji, obudziła w prowincjonalnej młodzieży połączoną do wiedzy i umiłowanie wolności, krótko mówiąc — odegrała istotną rolę kulturotwórczą. A ówczesne walki o postęp i demokrację na tym terenie były zapowiedzią i zarzewiem polsko - rosyjsko - ukraińskiego rewolucyjnego braterstwa.

*) Autor artykułu urodził się w 1946 roku, jest publicystą „Czerwonego Sztandaru” w Wilnie, wykłada ponadto marksizm w Wileńskim Instytucie Pedagogicznym, kształca m. in. nauczycieli języka polskiego.

Jutro będzie lepiej

Ireneusz J. Kamiński

ADRES zaopatrzone w dodatkowe wskazówki, ale długo nie mogłem tego znaleźć, chyba dlatego, że przyjechałem z kraju, gdzie takie instytucje zajmują budowlę wielkie, a przynajmniej wyróżniające się z otoczenia swoją architekturą, do których wejście nie jest takie łatwe, wymaga wyjaśnienia ze strony gościa, czasami nawet przepustek, zresztą jak w wielu krajach świata. Tymczasem stało to sobie między 10 i 11 Avenue jak gdyby nigdy nic, nazywało się po prostu „Ela”, a mieściło w budynku niskim i w ogóle skromnym, przypominającym jakiś magazyn z lubelskich Bursaków — jakim więc cudem mogłem przypuszczać, że w tym właśnie obiekcie, zupełnie nie strzeżonym przez mundurowych, znajduje się studio telewizyjne, w którym przygotowywane są m. in. programy etniczne, dla wielu grup narodowościowych, emitowane później kanałem 60-68 Newark na odległość niezbyt może imponującą (80 mil), ale wypełnioną za to milionami potencjalnych widzów, w tym półtora miliona Amerykanów polskiego pochodzenia.

Wewnątrz „Ela” także była skromna: kryła coś w rodzaju dyżurki z pianką pośrodku, toalety i studio właściwe, czyli jeden spory pokój o wymiarach 9 na 5 metrów, oddzielony szybą od kabiny realizatora programu, za którą znajdowała się jeszcze kłitka z ampexami itp.

Wspomniany pokój pokrywał niebieski dywan, na którym bieleł się stoliczek i czerwienili dwa krzeselka, muskane ściegi rybacką, funkcjonująca w charakterze dekoracji podczas nagrywania wywiadów. Ze ściany nie zdążyłem jeszcze zdjąć mapy politycznej świata, stanowiącej tło „przeglądu wydarzeń”, ze stelaża — kolorowych lakierowanych pocztówek, przedstawiających różne ładne kwiatki, służące za przerywniki programu i jawiące się na ekranach telewizorów jako te kłomby imponujące.

W takiej scenografii powstaje jedyny polonijny program telewizyjny w Nowym Jorku który pod nazwą „Mozaika polska” nadawany jest w każdą niedzielę, począwszy od września minionego roku. Trwa godzinę i obejmuje także pozycje: przegląd wydarzeń tygodnia, filmy dla dzieci („Bolek i Lolek”, „Koziołek Matołek”), wywiad z interesującą osobą, piosenki, no i oczywiście reklamy — jedyne źródło dochodów instytucji, której właścicielką jest pani Halina Michalska.

Pochodzi z Tarnowa, po skończeniu technikum budowlanego dostała się na studia w Uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymując ostatecznie dyplom wydziału prawa. W USA mieszka od pięciu lat, wyszła za mąż, ma trzyletnią córkę oraz młodszą od siebie siostrę Jolanę, która ma zamiar studiować filozofię.

Przez pierwsze tygodnie dokładała do „Mozaiki” grube pieniądze, myślała nawet, że skończy bankrutem, jak poprzedni właściciel programu dla Polonii, który po trzech latach działalności musiał zwinąć interes. Jakoś jednak przetrzymała najgorszy okres, czemu trudno się dziwić, jako że szczerpa, ładna blondynka, wyglądająca podstępnie, bo na lat dwadzieścia, jest kobietą pełną energii i optymizmu, a przy tym dobrze już zorientowaną w regulach gry na tutejszym rynku pracy i kariery. Wie zatem, że w Ameryce nie wolno być skromnym, przeciwnie, trzeba chwalić się głośno własnymi możliwościami, z których najbardziej cenil się pomysłowość, wytrwałość i konsekwencję. Wie tak-

że, że najlepszą drogą do załatwienia czegoś korzystnego są prywatne znajomości...

Wstępne trudności wynikały z faktu, że adresat programu, czyli średniozamożna Polonia nowojorska niezbyt chętnie kierowała do „Mozaiki” reklamy własnych firm i ich produktów, uznając marketing telewizyjny za zbyt kosztowny. Michalska pojąc nie mogła takich zastrzeżeń, bo za minutową reklamę żądała tylko 300 dolarów, podczas gdy na 3 lub 7 kanał wielkiej ABC po godzinie 17 płaci się za takie coś od 35 do 55 tysięcy dolarów, w zależności od tego, czy w reklamowej historii występuje znany aktor i sportowiec, czy też pastor pociągający piwo. Orazem, ABC to potęga, ale kto raz zobaczył panie Michalskie, zachęcające w swoim programie do kupna polskiej szynki, ten niewątpliwie podporządkuje się ich sugestiom i odłoży z niesmakiem nawet szynkę duńską, nie mówiąc o amerykańskiej, która słodka, nie w smaku.

Michalska okazała się pomysłowa, wytrwała, konsekwentna, no i zdobyła reklamy tak dla niej korzystne, jak właśnie „Polish ham”, „Orbis”, LOT-UPKO i czegoś jeszcze z naszej strony oceanu. Obecnie przystępuje do kolejnego natarcia, rozwijanego według planu z nazwiskami pięćdziesięciu dwóch przemysłowców polskiego pochodzenia, którzy dorobili się milionowych interesów. Tak się dobrze składa, że młoda żona jednego z nich również pochodzi z Tarnowa i ma pewien sentyment do rzeczy pięknych, co udowodniła, zapraszając na przykład szczytnie PKZ do wykonania kutej ozdoby bramy w swojej posiadłości. Szkopuł w tym, że nie jeden z tych polonijnych businessmanów chciałby, aby program Michalskiej zamienił się na coś w rodzaju „Mozaiki politycznej”, na co właścicielka nie ma najmniejszej ochoty. Ona pragnie realizować rzecz polską, po prostu taką, z obszerniejszym działem kulturalnym, w czym może odbija się echem jej dawny zamiar studiowania historii sztuki. Jak to jednak powiedział autor „Ziemni jądowej”, między zamysłem a realizacją mrok ciemny zalega.

Kultura w „Mozaice” to — przy możliwościach Michalskiej — wywiady z polskimi artystami, czy z takimi ludźmi, jak Eva Pape, znakomita promotorka polskiej sztuki współczesnej w Stanach Zjednoczonych. Nie jednak nie może zastąpić polskich filmów, z tymi zaś problem ogromny. Rzecz w tym, że instytucje krajowe sporo żądają, zdaniem tarnowianki, za wypożyczenie taśmy: 300 dolarów za jedną minutę projekcji, a pewne nowe przedstawicielstwo w USA — 100 dolarów za skorzystanie ze zniszczonej kopii „Złotej cizemki”. Samo sprowadzenie filmu z kraju, skoplowanie go na taśmie kolorową video 3/4 cala, jaka obowiązuje w telewizji amerykańskiej, oraz godzina projekcji kosztuje ogółem 1300 dolarów, na co Michalska nie stać. Właśnie brak materiałów zmusił ją do redukcji dwugodzinnego początkowo programu „Mozaiki” o 50 minut. Pani Halina mówi odtwarcie:

— W kraju nikogo to nie obchodzi, tylko biadolić potrafią, że polskie filmy i teatr są kompletnie nieznanne w Stanach. Tymczasem Jugosławia przysłała nowojorskim właścicielom programów w językach swego państwa filmy różne i od razu przystosowane do wymagań technicznych tutejszej telewizji. A programy etniczne w języku hiszpańskim nadawane są przez 10 godzin dziennie, podczas gdy polski, przypominam, jedną godzinę w całym tygodniu!

Michalska nie ukrywa, że chciałaby na tym interesie zarobić, co zrozumiałe, utrzymuje jednak jakiś przyzwoity poziom programu — na tyle atrakcyjny, że wręcz amuzujący Polonusów do szukania „Mozaiki” wśród kilkunastu kanałów telewizji Nowego Jorku. Na razie zarabia na wynajęcie studia, no może trochę więcej, ale nadal uważnie obserwuje zegar, który rozpoczyna swój bieg po piątym (tj. właściciele obiektu) z chwilą, kiedy

do pomieszczenia z niebieskimi dywanem wchodzi ekipa: Halina i Jolanta Michalskie, Grazyna Witkowska, Stewart Rapoport (kamerzysta) i Andrzej Welke (realizator). Wszyscy oni pracują właściwie za darmo, licząc na lepszą przyszłość.

Kiedy zaś kamera da spokój ogorkom konserwowym „Horteksu” i smakowicie kwaszonej kapoście w słodkach, bohater wywiada otrze wąsy po kanapkach zafundowanych przez szefową, a panna Jolanta uzupełni dyskretny makijaż, wtedy w drzwiach zaczną pojawiać się niewysocy panowie w szerokich kapeluszach i z hiszpańskim na ustach, którzy po chwili wycroczą do studia „Ela”, aby zająć je na okres znacznie dłuższy, niż zespół Michalskiej. Trzeba więc szybko zwinąć i wynieść całą swoją scenografię (poza meblami), co tyle kłopotliwe, co niszczące rekwiizyty, na przykład mapę, która już nadmiernie pomięta i dziwne dlatego konfiguracje polityczne świata przedstawia.

— Dziwne dziś, ale jutro możliwe — mówi ktoś z ekipy.

„Mozaika polska” istnieje zaledwie rok, więc w porównaniu z polonijnym programem telewizyjnym Roberta Lewandowskiego w Chicago znajduje się w okresie dzieciństwa. Popularny Bob prowadzi go od lat trzynastu, w jego talk-shows występowały osoby znane nie tylko w Polsce, czy wśród Polonii, jak na przykład Krzysztof Penderecki, Wiktor Zin i Kazimierz Deyna (futbolista), a ponadto Mieczysław Fogg, Piotr Szczępanik, Jerry Polomski, Alina Janowska i spory pęczek innych. W gabinecie Lewandowskiego — w USA od 1951 roku — wiszą fotografie gospodarza w towarzystwie Nixona i Forda, w biurku leżą zdjęcia z Cartesem i Johnsonem — „jeszcze nie oprawione”. Odtwórcą jednej z ról w naszej komedii „Kochaj, albo rzuć”, reżyser teatralny (w przyszłym roku zamierza wystawić „Derby w pałacu”), impresario, autor filmów telewizyjnych kręconych w USA i w Polsce, członek honorowy Polish Arts Club — Lewandowski pozostaje w bliskich kontaktach z ojczyzną, wykorzystując na przykład w swoich programach niektóre filmy Telewizji Polskiej oraz nagrania warszawskiego radia. Trzeba bowiem wiedzieć, że absolwent gimnazjum łódzkiego posiada jeszcze program radiowy, który nadaje codziennie o bardzo dobrej 7 godzinie rano, począwszy od 1 czerwca 1933 roku. Serwis informacyjny — oparty na „Polityce”, „Interpresie”, biuletynie PAP i źródłach amerykańskich — przepłata reklamą polskich sausage, używanych samochodów, domów na sprzedaż oraz bardzo osobistymi wstawkami w rodzaju: „Jak się dzisiaj czujecie? Bo ja fatalnie, głowa mi pęka, będą chyba jakieś zmiany”.

— Radio w USA przestało być czymś zaprogramowanym, jest towarzyszem człowieka w łazience, samochodzie, w kuchni. Występuje właściwie jako członek wielkiej rodziny słuchaczy, zwiergam się im z kłopotów i sukcesów. Najlepiej więc, jeśli audycję prowadzi jeden człowiek: stary dobry znajomy ludzi z drugiej strony studia. Jest to jednak wielka odpowiedzialność, bo w USA za wszystko, za każde potknięcie, ponosi się namacalne konsekwencje — mówi Lewandowski, mężczyzna wysoki i barchysty, pykający fajkę z wyrazem zadowolenia na twarzy, który każdy swój program kończy słowami: „Uśmiechnijcie się, jutro będzie lepiej!”

Audycje Boba Lewandowskiego chwalą się poprawnym językiem i stałą obecnością polskiej literatury klasycznej i współczesnej (Prus, Sienkiewicz, Dąbrowska, Andrzejewski), nagranej w odcinkach w Warszawie przez czołowych naszych aktorów. Właściciele niektórych innych programów chicagowskich niemłodośnie kaleszą polszczyznę, nadają jakieś straszliwe romansidła przedwojenne, opowiadają dowcipy, z których ryczeł nasz dziadkowie. A dzieje się tak dlatego, ponieważ często są to ludzie starsi, wiekowi, którzy wdepnęli w interesy radiowe jeszcze przed drugą wojną i do dziś prowadzą je w stylizacji pięknych lat swojej młodości. W pewnych przypadkach audycje takie można przecież polubić, najbardziej zaś tę, którą prowadzi pani Lidia Pucińska, była aktorka, kobieta obdarzona głosem piśmiennym, słodkim, męczącym, dźwięczącym kreskami. Zdumiewające przy tym: pani Lidia na pół roku przed ostatnimi prowadziami w kraju przewidziała te kęski, zachęcając w swojej „Słonecznej godzinie” do składania datków na „biedne sierotki i ołтары powodzi w Polsce”...

Pod jednym względem Bob Lewandowski jest typowym Amerykaninem (polskiego pochodzenia): myśli ekonomicznie. Cały personel jego przedsiębiorstwa liczy raptem cztery osoby, licząc z szefem i panem Marcinem Januskiewiczem pianistą-akompaniastą.

— Tu nie ma państwa-aniola, które sypałoby pieniądze ze swojego nieba — komentuje manager, który przy innej okazji twierdzi z całą powagą, że „wszyscy ludzie są dobrzy”.

Uśmiechnijcie się, jutro będzie lepiej!

Tysiąclecie Avicenny

KSIĘCIEM lekarzy — nazywane człowieka, który utrudził się... żyjąc lat temu. Abu Ali Ibn Sina — na zachodzie znany jako Avicenna — był chyba tym uczonym i filozofem islamu, który wywarł największy wpływ na naukę średniowiecza. Jego książka „Qanun” jest powszechnie uznana za najdawniejszą pracę w historii medycyny.

Avicenna urodził się w pobliżu Buchary, na terenie dzisiejszego radzieckiego Uzbekistanu, w roku 980. Jego ojciec był miejscowym namiestnikiem perskiej dynastii Samanidów w Bucharze, zaś chłopiec wyrastał i wychowywał się na księpczym dworze. Dzięki temu Avicenna uzyskał dobre wykształcenie, zaś w swojej autobiografii opowiada, że umiał już Koran na pamięć, zanim osiągnął dziesiąty rok życia, po czym zajął się studiowaniem logiki i matematyki. W wieku lat 14 osiągnął taki poziom umysłowy, że, jak twierdzą jego biografowie, to raczej on uczył swych nauczycieli, niż odwrotnie. Od tego czasu zaczął prowadzić samodzielne badania. Pisał: „Pragnieniem studiów medycznych... Nie jest to trudna nauka i wzmocnienie to bardzo krótkim czasie uczęszczałem do niej celownie, tak, że wyczerpałem w niej całe swoje siły, a następnie poświęciłem się doświadczeniu lekarza zaczęłam mnie stać z rądy przy rozważaniu zagadnień medycznych.”

W osiemnastym roku życia Avicenna uznał, że opanował już wszystkie nauki. W jego badaniach znacznie pomogło mu to, iż w nagrodę za wyleczenie sułtana z jakiegoś nieznanego schorzenia uzyskał dostęp do wspaniałej wyposażonej biblioteki książek Samanidów w Bucharze. W tym mniej więcej okresie Avicenna napisał ogromne, bo dwudziestotomowe, dzieło na temat praw, a następnie rozpraw o życiu.

Kiedy Avicenna miał dwadzieścia kilka lat, dynastia Samanidów padła pod najazdem Turków, wskutek czego został zmuszony opuścić Bucharę. Poprzez pustynię udał się do Feraj, gdzie szukał opieki najpierw na jednym, a następnie na drugim dworze książąt panujących w rozmaitych prowincjach tego kraju.

Od tego czasu prowadził on niepewny i zmienny tryb życia, czasami opuszczając w dostatek i łaski na dworze, czasami zaś będąc zmuszonym dla ratowania życia — uciekać. Pewnego razu, w Hamadanie, został nawet mianowany wyzwytem i pełnił tę funkcję przez dłuższy okres czasu. Pod koniec swego życia osiedlił się w Isfahanie, ale już w roku 1037 miasto padło pod naporem nieprzyjaciół i Avicenna znowu musiał uciekać. Udał się z powrotem do Hamadany, gdzie w wieku lat 58 zmarł na kolce brzuszną.

Pomimo zmiennych kolei losu Avicenna udało się napisać zadziwiająco dużą liczbę dzieł. Jedynak głównym powodem do sławy stały się jego dwa ogromne dzieła: „Shifa” i „Qanun”.

„Shifa” — to obszerna filozoficzno-naukowa encyklopedia, stanowiąca prawdopodobnie największe dzieło tego rodzaju, jakie kiedykolwiek zostało napisane przez jednego człowieka.

Filozofia Avicenny przedstawiana w tym dziele wiele zawdzięcza Arystotelesowi i innym wpływom greckim, z filozofią neoplatonicką włącznie. Próbowal on pogodzić racjonalne spekulacje Greków z objawieniami islamu. Prace Avicenny wywołały znaczny krytycyzm ze strony jego współczesnych, ponieważ podważały podstawowe założenia religii mahometanckiej, notując stworzenia i zmartwychwstania.

Najbardziej jednak znany jest Avicenna jako lekarz, zaś jego „Qanun” — czyli Kanon Medycyny — okazał się pracą, która wywarła wpływ największy. Dzieło to stanowiło fundamentalny podręcznik medycyny na europejskich uniwersytetach w okresie od XII do XVII wieku, a niektóre jego części są studiowane na Wschodzie nawet dzisiaj. Dzieło obejmuje pięć ksiąg. Dwie pierwsze zajmują się fizjologią, patologią i higieną, trzecia i czwarta — metodami leczenia, zaś piąta zawiera analizę i omówienie środków leczniczych oraz upływ ich przygotowania.

We wszystkich swoich pracach Avicenna ciągle szukał nowych metod badań, często wskazując drogi, które prowadziły do ważnych odkryć. Wskazywał na przykład jego koncepcje oka jako instrumentu optycznego, która zapoczątkowała ciąg myślowy doprowadzający do wyważenia w XVI wieku, przez bawarskiego uczonego Keplera, sposobu powstawania obrazu przedmiotu na siatkówce oka. Wskazywał, że tego rodzaju pomysły i idee wywarły największy wpływ na myśl naukową Europy.

Postać Avicenny otacza szacunek i cześć w całym świecie naukowym, lecz na Wschodzie jego imię jest wprawdzie, z podziwem także przez prostych ludzi, którzy nie czytali jego ksiąg. Irfanicy do dnia dzisiejszego opowiadają sobie legendy o nadzwyczajnej pamięci i niemal nadludzkiem słuchu Avicenny. W zbiorowych podaniach ludu wstępuje on jako wielki czarownik, ktoś obdarzony nadludzkimi zdolnościami. Ta reputacja jest prawdopodobnie wynikiem wszechstronności Avicenny oraz pań, z jaką wykonywał on wszystkie, co w danej chwili było przedmiotem jego zainteresowania i działań. Z równą zapamiętałością oddawał się fizycznym rozważaniom życia, jak i pracy intelektualnej. Wino — wbrew mahometanckim zakazom — uważał za rzecz niezbędną, zaś pań, do radości seksualnych uważał jest za przyczynę jego przedwczesnej śmierci. Tym, którzy ganił takie postępowanie, odpowiadał: „Mam pragnieniem jest żyć z tobą a nie długo.”

(Na podstawie „New Scientist” z 24 lipca 1980 roku opracował Aleksander Mora)

Magister do wyższych celów

Dokończenie ze str. 1

wi albo rycerskiego charakteru, albo losowego przymusu. Wszyscy inni czują się skazani.

W mieście w najlepszym razie można zdobyć zastępstwo; marzeniem jest — kilka na raz. To towar chodliwy, lecz deficytowy i „spod lady”. Łatwiej, ale nie znaczy — łatwo, złapać etat „na dojeżdżanie”, np. do Jastkowa, Łęcznej, Niemiec, Głuska, Klementowic. I trzecia możliwość, najbardziej realna — w teren: do Jeziorzan, Basonii, Dębin, Majdanu Grabina — gdzieś głęboko w środku zagubionego świata.

Teren stoi otworem, Lublin — za murem, więc absolwenci uczelni mówią tak: etat nauczycielski w Lublinie, albo w jego okolicach, można załatwić jedynie dzięki protekcyjnym znajomościom. A najlepiej dzięki bardzo dobrym znajomościom.

Na pytanie o tę sprawę kurator oświaty i wychowania, Eugeniusz Korolczuk, zdziwił się jakby beźmiernie i szczerze.

— Nie wiem, skąd takie wieści? — zapytał — To są informacje niekonkretne. To nie odpowiada stanowi, jaki powinien być stosowany w zawodzie nauczycielskim i administracji szkolnej. Wszystkie miejsca posiadane przez szkoły są zgłaszane do pełnomocników uczelni.

Kurator stwierdził dalej, że jest możliwe takie przekonanie na skutek częstego zbyt późnego zgłaszania przez nauczycieli przechodzenia na urlopy macierzyńskie. Powstaje wrażenie, że szkoły nie ujawniają etatów, choć tam nie ma wolnych etatów, a jedynie zastępstwa. Może tak być, gdy nauczyciel przed rozpoczęciem roku szkolnego chce nagle odejść na urlop.

— A zatem należy rozumieć, że plotki o „znajomościach” są nieprawdziwe?

— Sądzę, że nie powinny być prawdziwe — odrzekł kurator.

— A jaka jest rozbieżność w lubel-

skiej oświacie pomiędzy „powinno być” a rzeczywistością?

— Na pewno jakaś istnieje. Ale jej nie powinno być.

Właściwie reporter powinien mieć dowody, stawiając takie pytania, a nie rozmawiać aluzyjnie i jak w bajkach — niby gęś z prosięciem. Przekonań o sile znajomości nie rozwleją zapewnienia kuratora, zaś co do dowodów: na pytanie o „uruchamianie” protekcji przy uzyskiwaniu etatu w okolicach Lublina jeden z nauczycieli odrzekł:

— Szczerze?
— Szczerze.
— No więc, rzeczywistość trzeba było uruchamiać.

Ale to było tyle szczerzej rozmowy na ten temat.

Cóż więc czeka na nowego nauczyciela w zbiorczej szkole gminnej lub w jej punkcie filialnym? Co mu się tam oferuje — jakie mieszkanie, jakie warunki pracy i możliwości spełnienia wymuszonego powołania do roli Judy — czy Silaczki? Przed czym oni się tak bronią, trzymając się „pańskiej kłamki”, lubelskiej w naszym przypadku?

W kuratorium twierdzi się, że tam czeka rarytas główny, podstawowy i magiczny — własne mieszkanie: albo w domu nauczyciela, albo funkcyjne przy szkole, albo wynajęte, za które nauczyciel nie płaci. Czekają godziny ponadwymiarowe, co oznacza dodatek do pensji. Z góry wypłacone podwójne pobory. Nauczycielski autorytet na wsi. Inne okazje, o których oficjalnie mówi się niewiele. A w przyszłości czekać będzie, o czym też się na razie opowiada nieśmiało — kilkadziesiąt tysięcy złotych „za odwagę” pójścia w teren, bezwrotna pożyczka — może już od przyszłego roku?

Na razie jednak ugruntowała się i jest przedmiotem pożądań posada nauczyciela dojeżdżającego. Każda szkoła gminna w okolicach Lublina posiada część kadry nauczycielskiej dojeżdżającej, mniejsze 8-klasówki też,

■ a nawet spora część punktów filialnych. Niekiedy połowa nauczycieli dojeżdża, często jedna trzecia przybywa co rano do szkół autobusami. Zielony bilet miesięczny ze zdjęciem to główne wyposażenie pedagoga. To musi mieć. Resztę — niekoniecznie.

Dojeżdżanie nie jest jednakże koniecznością według oficjalnie wyrażanych opinii. W gminie Jastków na przykład czekają na pedagoga, chcącego osiać na stałe, wygodny pucho. A jednak dojeżdża jedna trzecia kadry, chociaż tam stoją puste mieszkania, tęskniące za lokatorem. Nie wynajmuje się w całej gminie innych, jak z centralnym ogrzewaniem i bieżącą wodą, a wszystkie w murowanych budynkach. W ogóle można podobno wynająć mieszkanie, jakiego się tylko zapragnie. Na przykład w Płuszczykach są piękne lokale w Ożarówie, w Tomaszowicach. W Jastkowie są one o wysokim standardzie. Przy szkole mieszkanie jest o wiele lepsze od wynajętego — gospodarz nie podejrzewa panią czy kawalera, nie opliotkuje. Ale nawet i w wynajętym mieszkaniu nieźle. W Jastkowie nauczyciele nie narzekają. Jedną z wbrednych pań przeniosła się do innego gospodarza, gdyż z poprzedniego domu prowadził błotnista droga do szkoły. Teraz ma asfalt pod nogi. Tak to malowało się w opowieściach dyrektora Zbiorczej Szkoły Gminnej w Jastkowie.

Ledwie roztoczył on owe uroki życia, wszedł do gabinetu nauczyciel z Sieprawic i wykrzyknął pretensje o to, że malowanie jego mieszkania funkcyjnego trwa o tydzień za długo, bo fachowcy się spóźnili, następnie o to, że deski na wymianę spróchniałej podłogi musi dostać zaraz, ale to natychmiast. Potem, już obaj, doszli do wniosku, że czas sieprawickiej szkole sprawić nowe ryny i okapy, gdyż inaczej budynek od wody spływającej po ścianach „zlasuje się”.

W Sieprawicach jest punkt filialny jastkowskiej szkoły zbiorczej i tam właśnie odnawiano dla nowej nauczycielki mieszkanie przy szkole. Jeszcze na początku roku szkolnego dojeżdżała ona z Puław do Jastkowa, bo remont trwał. Miała dostać pokój z piecem węglowym, bez łazienki, z ubikacją na dworze i całkiem niekrepującą, meble swoje przywieźć to gołych ścian i hulaj dusza.

Najlepszym wyjściem jest zbudowanie przez nauczyciela własnego domu. Zrobili to niektórzy w Jastkowie. Można kupić działkę budowlaną za czterdzieści tysięcy, a potem... Tu nastąpiło wtajemniczenie reportera w „ciekawe” sposoby załatwiania pożyczek finansowych na budowę. Po cóż o nich pisać, skoro pomagają wzniesić własny dom, czyli dobro największe. Tę wiedzę nauczyciel zdobył sam i szybko — część na radzie pedagogicznej, część poufnie.

Nauczyciel dojeżdżający łowie się też, jak uczyć w wiejskiej szkole, dla przykładu, języka angielskiego w kilku klasach z jednego, własnego podręcznika, i tego, że metodyka nauczania polega na przepisywaniu tegoż podręcznika do uczniowskich zeszytów.

A jeśli trafi do punktu filialnego w Płuszczykach, dowie się rychło, że wystarczy trochę deszczu, aby droga do szkoły zmieniła się w bloko. Ze zima szedł się w klasach w temperaturze od 0 do 7 stopni Celsjusza, bo piece są nieszczerne.

■ że mieszkanie, które musiał sobie sam wybudować w sąsiedniej wsi, jest w remoncie i składa się z jednego pokoju, ogrzewanego kuchenia kaflowa, z wodą w kranie na podwórku i ubikacją w „sławojce”. Ze sal gimnastycznej w szkole nie ma i lekcyjne w-1 odbywać się będą przez pół roku na korytarzu. Ze nie ma nawet piki do fry. Ze nie ma mikroskopu i nie wiadomo, jak maluchom wylumaczyć, co to bakteria lub komórka. Ze nie ma mas historycznych i dzieci nie pojmą, na czym polegały rozbiory Polski. Ze nie ma płytoteki do nauczania języków, projektora, slajdów, magnetofonu, dużego cyrkuła, podręczników i innych pomocy szkolnych, które codziennie są tu przez pięć godzin. Usłyszy również:

— Po co im mleko, skoro wiele z nich nie przynosi nawet kanapek. A poza tym niech się hartują w trudnościach. Myśmy mieli niełatwo, więc niech i one poznają co to niewygoda.

Jeśli adepta nauczycielstwa na te słowa nie „zatką” z wrażenia, to znaczy, że skutecznie stygnie w nim gorączka powołania. Może się już nie rozmiękczać, czytając na korytarzu szkolnym hasło: „Dziecku uśmiech — światu pokój”, oraz spokojnie oczekiwać, że w szkole nie będzie potrzebny lekarz, skoro higienistka oflarnie dochodzi tu raz na tydzień, na dwa, z ośrodka zdrowia w sąsiedniej wsi. Podobną opiekę lekarską mają dwie inne szkoły w okolicy.

Płuszczyce to nie jest jakiś koniec świata — jak wiadomo, leżą w zasięgu linii komunikacji miejskiej.

W obecnej sytuacji status „dojeżdżającego” z dużego ośrodka na wieś jest przez nauczycieli pożądanym. Jako najmniejsze zło. Ziem zaś dużego kalibru jest niezamierzony przecięt, ale istniejące nierówne traktowanie dzieci wiejskich w systemie oświaty, tym bardziej wyraźne, że dzieci we wsiach mają gorszy start; obniżanie jego poziomu wynika głównie ze złych warunków pracy nauczycielskiej.

Zderzenie realiów tzw. obiektywnej rzeczywistości z przekolorowanym obrazem wiejskiego szkolnictwa, jaki oficjalnie się upowszechnia, a przy tym niedoinformowanie absolwentów uczelni o warunkach pracy w terenie oraz zółwi proces ich poprawy tworzą u magistrów lęk przed „niższym” celem życiowym. A na dokładkę komu w szkolnictwie średnim i wyższym wiadomo cokolwiek o systemie wykształcenia wartości moralnych czy obywatelskich, które by uzbrajały świadomość początkujących nauczycieli w oręż poświęcenia, podejmowania trudnej pracy, domagania się zmian na lepsze? Jak „powinno być”, a jak jest — oto czy nie główny dziś problem oświaty, a na pewno nie jedyny.

Aleksander Szerszeń

PROGNOZA POGODY

Dokończenie ze str. 1

wać w ogólnopolskich niełatwych warunkach kadrowych; po drugie (a może raczej „po pierwsze”) — zaznaczał się coraz wyraźniej odpyły publiczności. I tej zniechęconej superawangardowymi inscenizacjami okresu Brauna, wyprzedzającymi możliwościami percepcyjnymi masowego widza, i tej elitarniej, której na początku nowego okresu właśnie zabrakło pozycji eksperymentalnych.

Słowem, Zbigniew Sztejnman wziął na swe barki kierowanie teatrem w aurze zgola nieprzychylniej, a na domiar złego, wobec niezdecydowanej postawy czynników decydujących, działał cały rok w charakterze p. o., co rzecz jasna nie sprzyjało wzbogaceniu zespołu aktorskiego i w konsekwencji — racjonalnemu planowaniu repertuarowemu.

Dopiero po mianowaniu „pełniącego obowiązki” — dyrektorem, uzyskiwał on autorytet umożliwiający mu skuteczniejsze działanie. Toteż, poczynając od owego momentu, aktorzy zaczęli ufajiej traktować ewentualność zaangażowania się do Teatru im. J. Osterwy i dziś z całym przekonaniem powtarzam swoje niejednokrotnie wypowiedziane zdanie, że wśród ogółu

teatrów wojewódzkich lubelski teatr ma jeden z najlepszych zespołów aktorskich. Więcej — że ma zespół lepszy od pewnych zespołów stołecznych.

Z zespołem tym utalentowani i doświadczeni reżyserzy potrafili opracować dobre i nawet wybitne przedstawienia takich sztuk, jak „Grupa Laokoon” Różewicza (w reżyserii Witolda Skarucha), „Egzamin” Gawlika, Szekspirowe „Wesołe kumoszki z Windsoru”, „Emigranci” Mrożka (wszystkie trzy pozycje w inscenizacji Józefa Slotwińskiego), jak „Wiktor albo dzieci u władzy” Vitracca (w reżyserii Bohdana Cybulskiego), „Rozmowy z katem” Moczarskiego (reżyser Stanisław Bieliński), spektakl nie ustępujący warszawskiemu, jak „Operetka” Gombrowicza w inscenizacji Józefa Grudy, przewyższającej, moim szczerym zdaniem, inscenizację Macieja Prusa, która niefortunnie ustawia w poszczególnych rolach artystów Teatru Dramatycznego m. st. Warszawy. Wreszcie wymownym też świadectwem wysokiego poziomu artystycznego zespołu Teatru im. J. Osterwy są świetne spektakle ostatnio opracowanej przez Jerzego Rakowieckiego „Odrapany posłów greckich”, które odniosły zdecydowany sukces w Jassach i Bukareszcie i mogą być pokazane bez obawy wybrednej publiczności naszych najbardziej renomowanych festiwali teatralnych.

Ale powiedzmy otwarcie — takich wybitnych wydarzeń na przestrzeni minionych pięciu lat nie było wiele.

Owszem, prawdą jest, że po wyjściu z kryzysowej sytuacji 1975 r. działalność Teatru im. J. Osterwy można uważać w pewnym sensie za unormowaną. W r. 1978 np. zrealizował on 10 premier, 243 spektakle w siedzibie obejrzało 81 922 widzów, 132 w terenie — 58 079. Wykonany plan obrotowy obejmował, poza województwem lubelskim — białkopodlaskie, chełmskie, kieleckie, kroszeńskie, przemyskie, radomskie, tarnobrzeskie i zamojskie. Uregulowało się wykorzystywanie sceny malej „Reduta 70”, zaniedbanej w ostatnim sezonie poprzedniej dyrekcji, wznowiono zaniechaną od r. 1973 współpracę z zagranicą...

Dobrze, lecz jakość oferowanej produkcji artystycznej nie zawsze miała ten wysoki poziom, na który stać było zespół. Działo się tak na skutek — nie dość stanowczego przeciwstawiania się dyrekcji różnym niefortunnym sugestiom tych czy innych układów, zakorzenionych w teatrze bądź sporadycznie powstających. Wynikała stąd przede wszystkim chwilewiczność w ustalaniu repertuaru. Planu repertuarowego w gruncie rzeczy nie było, był przypadkowy zestaw sztuk. Zdarzało się, że na warsztat trafiała pozycja, która nie załatwiała nie poza zaspokojeniem czyjejs jednostkowej ambicji, często — kroczyć wygórowanej. Też same jednostkowe względy ambicyjne dewalowały nierzad niewłaściwą obsadą sztukę wartościową i przydatną.

Wiadomo — „koszta” podobnych nieprawidłowości (niestety, pokutują-

cych jeszcze w naszych teatrach) ponosi w końcu dyrektor. Wydaje mi się wszelako, że przy wstąpieniu Teatru im. J. Osterwy obecnie w nowy okres dyrekcyjny niejedyn członkiem zespołu artystycznego i administracyjnego ma moralny obowiązek dokonać własnego rachunku sumienia, aby na przyszłość sporo spraw potoczyło się lepiej niż dotąd.

Ignacy Gogolewski, aktor i reżyser znany w całej Polsce, objawszy stanowisko dyrektora lubelskiej sceny, może szczególnie dużo zrobić dla jej dobrej sławy, albowiem na niekorzyść teatru działały nie tylko powody wyżej sygnalizowane, ale i fakt, że publiczność miejscowa stanowczo nie docenia poziomu artystycznego aktorskiego zespołu Teatru im. Osterwy, po prostu nie kwapiąc się do rozeznania w istotnym stanie rzeczy. Cóż, proszę mi wybaczyć śmiałość powiedzenia — snobizm się snobizmem „odcisną”: już samo słynne nazwisko nowego dyrektora powinno przyczynić się do zwalczania uprzedzeń.

Ignacy Gogolewski otrzymał pod opiekę teatr o świetnych tradycjach. Nie ustaje cytować trafnych słów powiedzianych przez długoletniego dyrektora placówki, śp. Jerzego Toronczyka, na jej 15-lecie:

Scena lubelska, gościła na przestrzeni lat od 1944 r. do chwili obecnej najwybitniejszych aktorów i reżyserów naszego kraju. Wielu z nich pierwsze swoje kroki artystyczne w wyzwolonej Ojczyźnie stawiało na

OBLĘD" Krzysztoń wywołał obłąd krytyki. Aż dziw, że ludzie kiedy indziej tak sarkastycznie traktujący wszelkie pozerstwo ni stąd ni zowąd skrzyknęli się w zgodny chór najpospolitszego klakierstwa. Bo jeśli nie klakierstwa, to tym gorzej dla nich, tym gorzej dla literatury. Widocznie bidułka przeżywa taki okres, że materiał na dziesięciostronicową nowelkę rozciągnięty do tysiąca stron zasługuje na miano arcydzieła.

Michał Sprusiński („Literatura”, 24.VII.1980) podziwia, jak bardzo te „majaczenia o cywilizacji są poddane rygorowi”. Michał Boni (ten sam numer „Literatury”) do powyższych majaczeń dopisuje swoje w tonacji misteryjnej, Włodzimierzowi Maciągowi („Nowe Książki”, 15.VII.1980) potrzeba aż porównania z Dostojewskim i Mannem, by stwierdzić, że u Krzysztońa jest coś trochę mniej.

Idąc za poduszczeniem recenzenckiego samozachwyłu (tak, bo splendor sływa i na recenzenta) można niejednako stwierdzić. Tym bardziej w tym temacie, i nie ma żadnego sposobu na wylegitymowanie z użytych określeń. Nawet im mniej są sprawdzalne, tym większą mają pretensję do oryginalności. Bo aż tak przekraczają skonwencjonalizowane mniemanie, i są „poddane rygorowi”. Oczywiście temu wyższemu. Trudniej osiągnąćemu, mniej zauważalnemu. Więc recenzje dają w jedną dźwięk, zrządzeniem osobliwych przyczyn uznana za kamerton.

Jakże wygodny! A tę wygodę podrzucił sam autor. Na czym ona polega? Na tym, że kiedy się weźmie pojęcia takie, jak „Bóg”, „szatan”, „pitek-antropus”, „Odyseusz”, „Prometeusz”, „dola człowieka” itp., można dowolnie nimi żonglując wyrazić zawsze „głębką” myśl. Na przykład: Człowiek to Bóg, który chciał zostać szatanem, ale w procesie ucłowieczania małpy popadł w hamletyzm — nie głębokie? Kto wie, czy Odyseuszowi bardziej Itakę nie byłaby wyspa syren, a bardziej Penelopę Kirke — nie oryginalne? Co mi będziecie mówić o sile twórczej geniuszu, Prometeusz ognia nie wynalazł, lecz go ukradł — nie wnikliwe? Obojętnie w jakim kierunku pójdzie tu poślisz aberracji, zawsze da się udowodnić — brawo! brawo! — nareszcie odschematyzowaną myśl, kawał na nowo i śmiało ujranej humanistycznej rzeczywistości.

Gdyby przy tym wszystkim autor miał do przedstawienia jakąś koncepcję człowieka, przeprowadził jakąś dekonspirację wynaturzeń współczesnej cywilizacji. Wtedy te wszystkie niebezpieczeństwa nieskontaktowania się z odczuwalnością czytelnika zapisałibyśmy mu na dobro, jako świadectwo szlachetnego ryzyka podjętego dla wyrażenia myśli nielatuw wchodzących w intersubiektywną komunikację. Tymczasem gdzie jest to? W ujrzeniu krawca jako generała Sowińskiego? (Nb. nie wiadomo dlaczego order Burdelonia Prostituta został przyznany właśnie jemu). W tym, że bliźniak zaindagowany w sprawie podobieństwa do brata odpowiada wykładem z genetyki? (Widocznie autor — wybitny erudyta aktualnie w tym przedmiocie skorzystał z podręcznego działu dzielnicowej biblioteki). W tym, że co drugi psychicznie chory mówi po angielsku? (Wiadomo, że jest to język autorowi znany). Właśnie. W szpitalu dla wariatów nie ma ani jednego wozaka, szofera, magazyniera, wszyscy tylko o Schopenhauerze, Platonie, *condition humaine* i *homo homini lupus*. Aż chce się autorowi podpowiedzieć: są jeszcze sądy syntetyczne a priori (Kant), *données immédiates de la conscience* (Bergson), akty nadawania sensu w przeciwnieństwie do aktów wypełniających sens (Husserl) — cała ta kunsztowna architektura umysłowego wnętrza, która jakże efektownie umebłowałaby świadomość przebywającego w szpitalu

hydraulika. Oczywiście klakierzy zapożyczają, mówiąc, że nieważna jest dramatis persona, ważna jest treść, którą wypowiada. Tylko po pierwsze — książka jest powieścią, jeśli nawet nie w konwencji realistycznej, to zobowiązanej do zachowania wymagań jakiegoś takiego prawdopodobieństwa, po drugie — ta zsztywna treść pochwytańcza z popularyzatorskich opracowań, bibliotecznych kwereń i podręcznych słowników przed krytycznym czytelnikiem dekonspiruje się sama. Sprusiński jako zaletę powieści wymienia, że trzeba ją czytać z encyklopedią. To już do tego stopnia krytyka daje się złapać na plewy? Z uznaniem wyraża się o tekstach, w których referent dowolnych lektur wyręczył powieściopisarza? Dowolnych, ponieważ wystarczy przeczytać cokolwiek i przeczytaną treść włożyć w wypowiedź wariata, który nie jest obowiązany do przestrzegania normalnej konsekwencji, a będzie to zyskiem. Recenzja podkreślił wnikliwość autora, który z taką intuicją wczuł się w umysłowość paranoika.

A erudycja? Na str. 125 tomu I jest wymieniony Hoene-Wronski. Jakoś bardzo powściągliwie i zdawkowo. Jak z trzeciej, czwartej ręki. Piszącego niniejsze słowa tknęło podejrzenie, czy to, co mamy w powieści o przedstawicielu filozofii mesjanistycznej, nie dąłoby się wziąć wyłączenie z encyklopedii. I rzeczywiście. Ze Hoene-Wronski był autorem „Listu do papieża” można się dowiedzieć, otworzywszy 4 tom Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN na str. 709.

Popatrzmy dokładniej. Ten erudyta nie wie, że centurion (tom I, str. 149) był dowódcą oddziału (składającego się mniej więcej ze stu ludzi), a nie szeregowym żołnierzem; że Lechoń skoczył z okna hotelu Hudson, a więc nie rozbił się o bruk dzielnicy Manhattan (tom II, str. 117); że „duch” po łacinie to bynajmniej nie „spirytus” (tom II, str. 307, zresztą i w innych miejscach), lecz „spiritus”; że w tym języku nie ma wyrażenia „vir illustris” (tom II, str. 133), lecz „vir illustris”; że katharsis bynajmniej nie oznacza ofiary ani poświęcenia, lecz oczyszczenie; że „ciemność” po łacinie to nie jakaś na zasadzie filologicznej probabilności utworzona „tenebrositas” (tom II, str. 385), lecz „tenebrae”; że „Navigare necesse est” powiedział Seneka, nie Magellan (tom II, str. 238); że kolor żółto-brunatny to nie ugr (tom II, str. 256), ale ugier. Oto kilka zauważonych w czasie normalnej lektury. Lektura przeprowadzona pod kątem krytycznym wykaże ich znacznie więcej.

A także to, o czym z przekąsem mówi się „literatura”. Na str. 108 tomu I babcia ostrzega wnuczkę przed reporterem radiowym jako przed kimś, kto mówi „ukrasz głos”. Skoro to brzmiał „inteligentnie”, nieważne, w jaki sposób mieści się w realiach. Na str. 110 tomu I profesor wymyślił system i wzorem Archimedeasa obwieszcza to przechodniom. Na str. 112 tomu I naukę jazdy samochodem przechodzi młoda kobieta, więc na poleceniu instruktora — jakżeby nie, „literatura” musi zatriumfować — ślad szminki; instruktor i uczennica tylko czekali, żeby ten szczegół został zauważony publicznie. Na str. 147 tomu I podkowił żołnierz dzwiczą o kamienne schody przy wchodzeniu. Podkowił! Na str. 153 tomu I pijany kolejarz sypie cytatami z klasyków, a barmanka go nazywa „encyklopedystą”. Bar-

Wydawnictwo: „Głębokość”

Na str. 207 tomu I mamy cytaty z „Sań” Galszczyńskiego. A właściwie „cytat”. Bo zostało przytoczone „Inkaustem z serca mego”, podczas gdy w wierszu jest „atramentem z serca mego”. Ale „Inkaust” to „kulturalniej” niż zwykły „atrament”. Na str. 243 tomu I uderzony policzek puchnie w kilka sekund. Na str. 10 tomu II „namy „trismus jak u buldoga”. czy szczękoscisk u kundla jest mniejszy? Na str. 290—291 tomu II prostaczek spośród pacjentów wymienia tiserinę, totanol, atarax, parkopan i truxal, tak się zna na antyparanoidalnej farmakologii. I wyjątkowy rodzynek: ten erudyta odwrotną stronę nazywa awersem (tom III, str. 214), nie rewersem.

W wywiadzie dla przedstawiciela „Nowych Książek” (15.VII.1980) mówiąc o pisarzach nazywa ich skrybami. Czy to lekceważenie? Nie, to „oryginalność”. Bo skoro wszyscy inni w tym wypadku posłużyliby się wysłowionym terminem „pisarze”...

Dać się zwariować

Zygmunt Mikulski

Aż się nie chce wierzyć, że te tysiąc stron o niczym z taką łatwością przeszło przez czołowe w kraju wydawnictwo, zyskało taką ocenę krytyki. O niczym. Bo bynajmniej nie o kryzysie społecznego świata, nie o poszukiwaniu indywidualności, nie o presji zaszciości kulturowych — jak podpowiada usłużny recenzencki komentarz. W dowolności ujęć przewyższając nawet sam tekst. W ten sposób wszystko można wyinterpretować na „Wojny trojańskiej nie będzie”, „Upadek”, czy „Kontrapunkt”. Nie do wiary, że nikt z piszących o „Oblędzie” nie dostrzegł jego pretensjonalnych mielizn, szczególnie widocznych w II tomie, który cały jak pęknięta płyta obraca się na jednym motywie. Żeby powieść przeczytać, należało popędzać się jej — nieuzasadnioną — aktualnością na rynku, nie niesionymi przez nią treściami. Co do recenzentów zaś, odnosi się wrażenie, że każdy zjadł po dwie żaby. Pierwsza — że utonął w ogólnym chórze, nie zaznaczywszy swego odrębnego stanowiska, druga — że sfalszował relację z własnych doznań, na siłę nobilitując mistyfikację. Nikt nie wytknął łatwizny polegającej na pójściu po linii najmniejszego oporu, skoro o ułatwieniu przy tym temacie jest tak łatwo.

Na temat fixum-dyrdum trylogia. Wobec tego na temat zabawy w klocki będzie tetralogia, pentologia na temat wagarów. Co proszę, ze oszczerstwo? O, krytyka udowodni, że zabawa to jedna z postaci *condition humaine*, a układanie klocków to też gra w niewiadome, jak całe ludzkie życie. A wagar? Czymże innym jest los człowieka, jeśli nie ciągłą ucieczką przed przeznaczeniem, przed koniecznością, przed samym sobą. Od tego jest krytyka (recenzja?) literacka, by w końcu i ten temat znalazł się podrzucony na przecieradle.

Jerzy Krzysztoń: „Oblęd”. tom I — „Trojny i osaczony”, str. 264, tom II — „Przywiązany do masztu”, str. 388, tom III — „Księżyc nad Epidaurum” str. 352. Państwowy Instytut Wydawniczy, cena całości 115 zł.

deskach tej sceny. Szereg młodych talentów zajmujących obecnie wybitne stanowiska w teatrach stołecznych i wojewódzkich jej zawdzięcza karierę. [...] Oceniając działalność artystyczną teatru lubelskiego z perspektywy czasu, należy z dumą stwierdzić, że zajmie on zasłużone miejsce w dorobku kultury ogólnonarodowej i nie pozostanie bez wpływu na jej dalszy rozwój.

Wiem, że Ignacy Gogolewski jest głęboko przejęty misją stworzenia na lubelskiej scenie takiego stylu pracy, a w społeczeństwie takiego nią zainteresowania, jakie uczyniłby kolektyw Teatru im. J. Osterwy w pełni godnym wkroczenia do monumentalnego gmachu, którego budowa odbywa się w przyspieszonym tempie i ma być ukończona na r. 1984. Ambitne, wielostronne projekty nowego dyrektora z pewnością porwą zastany przez niego zespół skłaniając do obojętnego współdziałania.

Pierwszym, niemalym, osiągnięciem I. Gogolewskiego było zdobycie drugiej sceny, tuż przy ulicy Pstrowskiego, w Miejskim Domu Kultury. Całe I piętro budynku zostaje oddane do dyspozycji Teatru im. J. Osterwy. Uzyskuje się w ten sposób, oprócz dość pojemnej sali widowiskowej, zaplecze pozwalające na godziwą prezentację sztuk kameralnych, tudzież na wznowienie działalności eksperymentalnej, co nastąpi po uporządkowaniu spraw pierwszoplanowych. Tu również mogą się odbywać premiery Studia Dramaturgii Współczesnej.

Dyr. Gogolewski nie stosuje efektu ogłaszania błyskotliwego repertuaru na cały rozpoczynający się sezon. Poważne, realne planowanie wymaga dokładnej znajomości lokalnej specyfi-

ki wszystkich czynników, od których uzależniona jest dobra praca teatru, przede wszystkim zaś delikatnego a wnikliwego zgłębienia charakteru i uzdolnień poszczególnych aktorów. Takiemu właśnie dociekaniu, a właściwie jego początkom, poświęcił nowo mianowany dyrektor znaczną część czasu pierwszego tygodnia swej działalności w Teatrze im. J. Osterwy.

Nie skąpiłam pochwał, oceniając możliwości artystyczne zespołu aktorów naszego teatru. Teraz wszak pora na informację, że narastająca stopniowo, w ubiegłym roku, kolejna niepewność co do stabilności kolektywu Zbigniewa Szejmiana spowodowała odejście z końcem sezonu kilku cenionych aktorów (m. in. Piotra Suchory, Andrzeja Rzechowskiego, Jerzego Rogalskiego). Na pozyskanie nowych sił aktorskich w chwili, kiedy nowy sezon już się rozpoczął, liczyć nie można, tedy, rzecz zrozumiała, nie wejda do jego repertuaru reprezentacyjne dzieła wielkiej klasyki narodowej; niemniej, choć z konieczności skromniejszy, będzie on uwzględniał zainteresowania różnych kręgów publiczności. W „exposé” wygłoszonym przez nowego dyrektora na wspomnianym zebraniu 28 VIII padło kilka atrakcyjnych tytułów, na razie bez obowiązujących terminów premier. Są to m. in.: „Fantazy” w inscenizacji Ignacego Gogolewskiego, z nim samym w roli tytułowej, Mollerowski „Mizantrop”, „Iwanow” Czechowa, „Sen nocy letniej”, na który mamy obsadę i który nie był grany po wojnie w Lublinie, „Maskarada” Iwaszkiewicza, ciągłe aktualna „Zabusa” Zapolskiej, „Wilki w nocy” Rittnera, „Szkłana menażeria” Tennessee Williamsa; dla amato-

rów lepszych pozycji — wesola komedia amerykańska „Jak się kochają w niższych sferach” (obecnie w tłumaczeniu). Jak powiedziałam, realny plan repertuarowy nie jest jeszcze ustalony. Do obecnych konkretów natomiast należy wznowienie rozpoczętych przed urlopami prób sztuki Janczarskiego „Czyżby” w reżyserii Józefa Słotwińskiego ze współpracą reżyserską Zbigniewa Szejmiana. Premierę tej sztuki przeznaczono na otwarcie Małej Sceny w MDK. Równolegle rozpoczęto próby „Cyda” Corneille’a — Wyspiańskiego, w inscenizacji, którą I. Gogolewski opracował w warszawskim Teatrze Polskim. Na najbliższą przyszłość można przewidywać „Fantazję”.

Bardzo ważnym osiągnięciem dyr. Gogolewskiego jest wywalczenie zgody na zredukowanie liczby przedstawień w terenie do 50% dotychczasowego planu objazdowego. Nowy plan będzie uwzględniał tylko miejscowości posiadające sale, które gwarantują właściwą prezentację spektaklu. Czy trzeba mówić, jakie znaczenie ma redukcja liczby wyjazdów — dla pracy aktora nad sobą?

Uzyskał też zgodę dyrektor na założenie w październiku 1981 r., przy teatrze 3-letniego studia aktorskiego, przewidując, że do rozpoczęcia działalności w nowym gmachu będzie potrzebny zespół 60-osobowy. Na razie dla uzupełnienia obecnego zespołu trzeba korzystać z adeptów — poszukiwać talentów wśród młodzieży.

Wiele jeszcze tematów różnego kalibru znalazło się we wstępnym przemówieniu dyrektora, jak np. potrzeba zadbania o estetykę wnętrza budynku teatralnego i jego otoczenia. Do najważniejszych należało stwierdzenie

braku publiczności, która powinna systematycznie towarzyszyć poczynaniom teatru (swego czasu na ten niedostatek zwracała u nas uwagę Irena Babel). Przede wszystkim zaś dał I. Gogolewski wyraz naturalnemu pragnieniu, by Teatr im. Osterwy pozyskał na stałe sympatię publiczności, nie tylko drogą najpewniejszą, którą jest oczywiście oferowanie dobrych spektakli, ale i bezpośrednim kontaktem z różnymi grupami widzów ze środowiska robotniczego, uniwersyteckiego, szkolnego, z członkami operatywnego Towarzystwa Kultury Teatralnej. Temu celowi mogą służyć zarówno wizyty artystów w różnych klubach (pokazy poszczególnych scen aktualnych spektakli i dyskusje), jak i spotkania towarzyskie przy kawie w swego rodzaju „salonie” teatralnym, na urządzenie którego przeznaczą się sale dotychczasowej „Reduty 70”, skoro zadania jej przejmie Mała Scena Teatru Osterwy w MDK. „Salon” ów będzie zarazem izbą pamiątek, jakże cennych, bo wielu sięgających okresu PKWN.

Ignacy Gogolewski mówi otwarcie, że stawia na hasło „sobizm a postep”. Jednym z nobliwych i atrakcyjnych chwytów spod tego znaku będzie współpraca z aktorami warszawskiego Teatru Polskiego w obsadach pewnych projektowanych sztuk. Pomysł znakomity (tak mi się przynajmniej a priori wydaje).

Summa summarum prognoza pogody na lubelskim obszarze teatralnym sypowiadła się jak sądzić, pomyślnie.

Maria Bechzyc-Rudnicka

Kamena str. 7

MONASTYR W JABŁECZNEJ

Zespół sakralny pod wezwaniem św. Onufrego leży za wsią Jabłeczna (woj. białkopodlaskie), usytuowany w bagnistym zakolu Bugu. Jest jednym ze starszych zabytków prawosławia na ziemiach polskich.

Klasztor (pod tym samym wezwaniem) istniał tu już pod koniec XV wieku, jak o tym świadczy ewangelia, specjalnie dlań napisana w roku 1498. Ufundowany został prawdopodobnie przez Zabrzezińskich, znany podówczas ród możnowładców prawosławnych. Następni właściciele Jabłecznej — Boguszowie, Prońscy, Leszczyńscy — obdarowywali klasztor licznymi ziemiami, tak że w ciągu dwustu lat uzbierało się tego ponad 1300 dziesięcin...

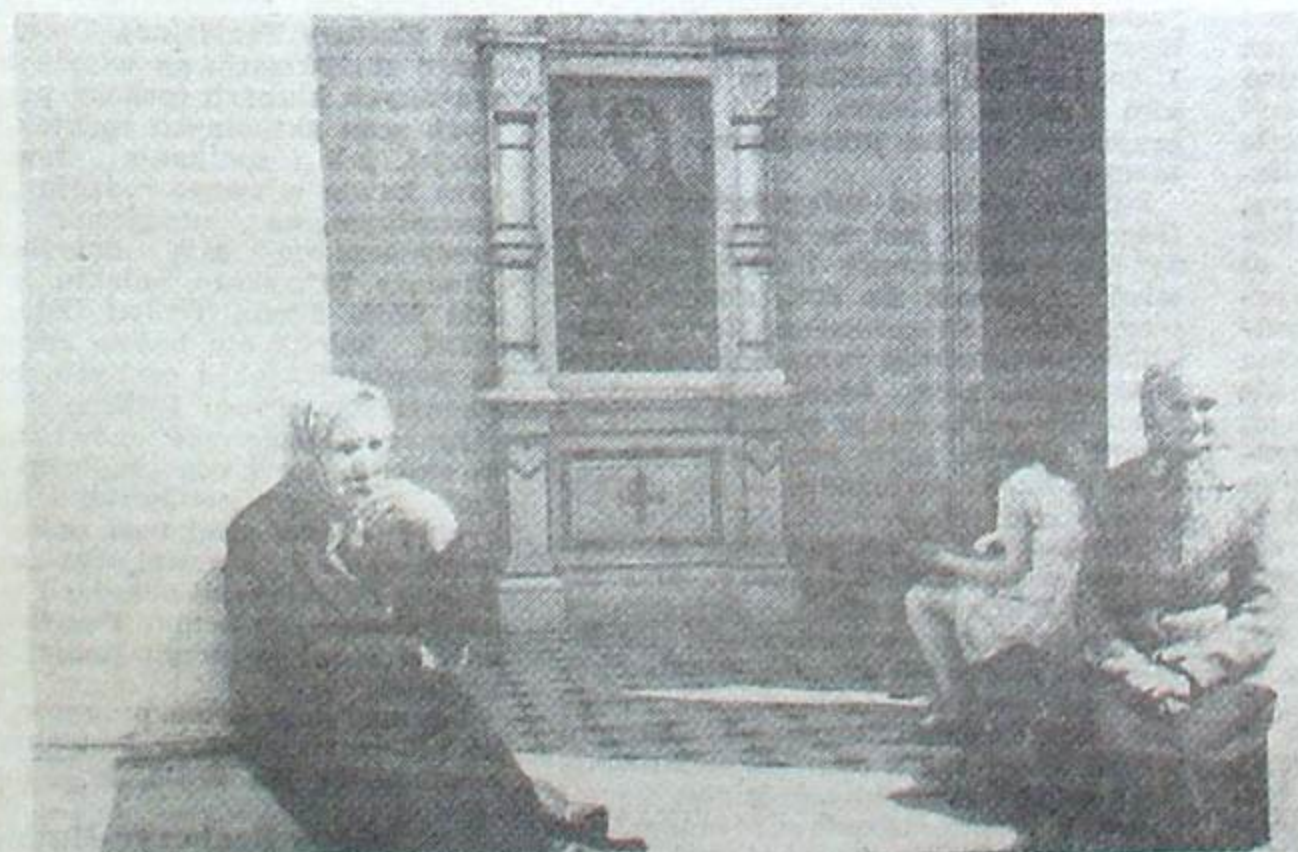
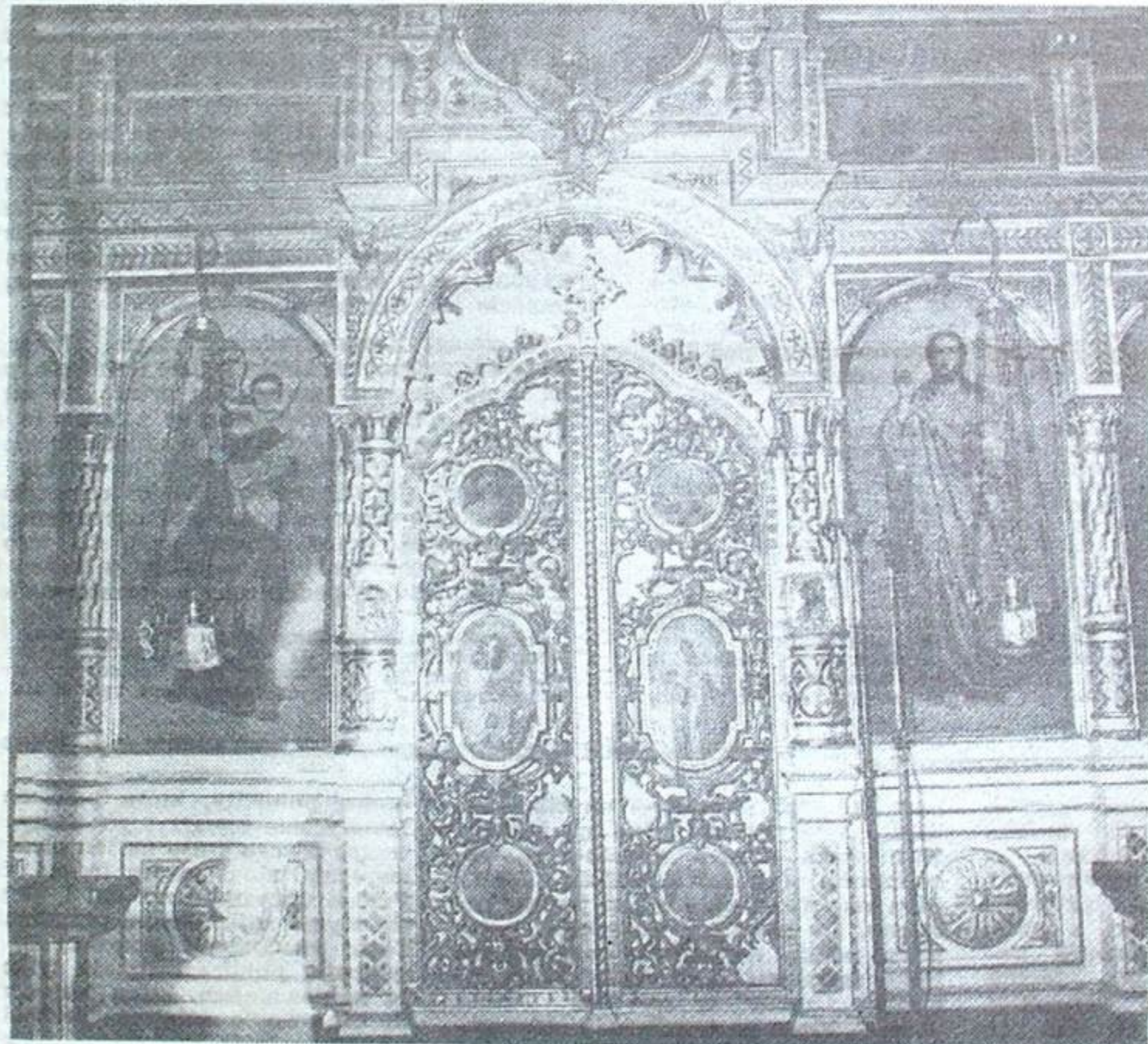
Obecne budynki zespołu sakralnego nie pamiętają już tamtych czasów. Cerkiew i klasztor, otoczone murem z bramą - dzwonnica, wzniesiono w latach 1838—1840. Cerkiew, utrzymana w stylizacji klasycystycznej, zbudowana została na planie krzyża greckiego; wewnątrz znajduje się wiele pięknych ikon, głównie z XVIII i XIX wieku, a wśród nich obraz (tempera na desce) przedstawiający patrona klasztoru — pustelnika św. Onufrego z brodą do ziemi.

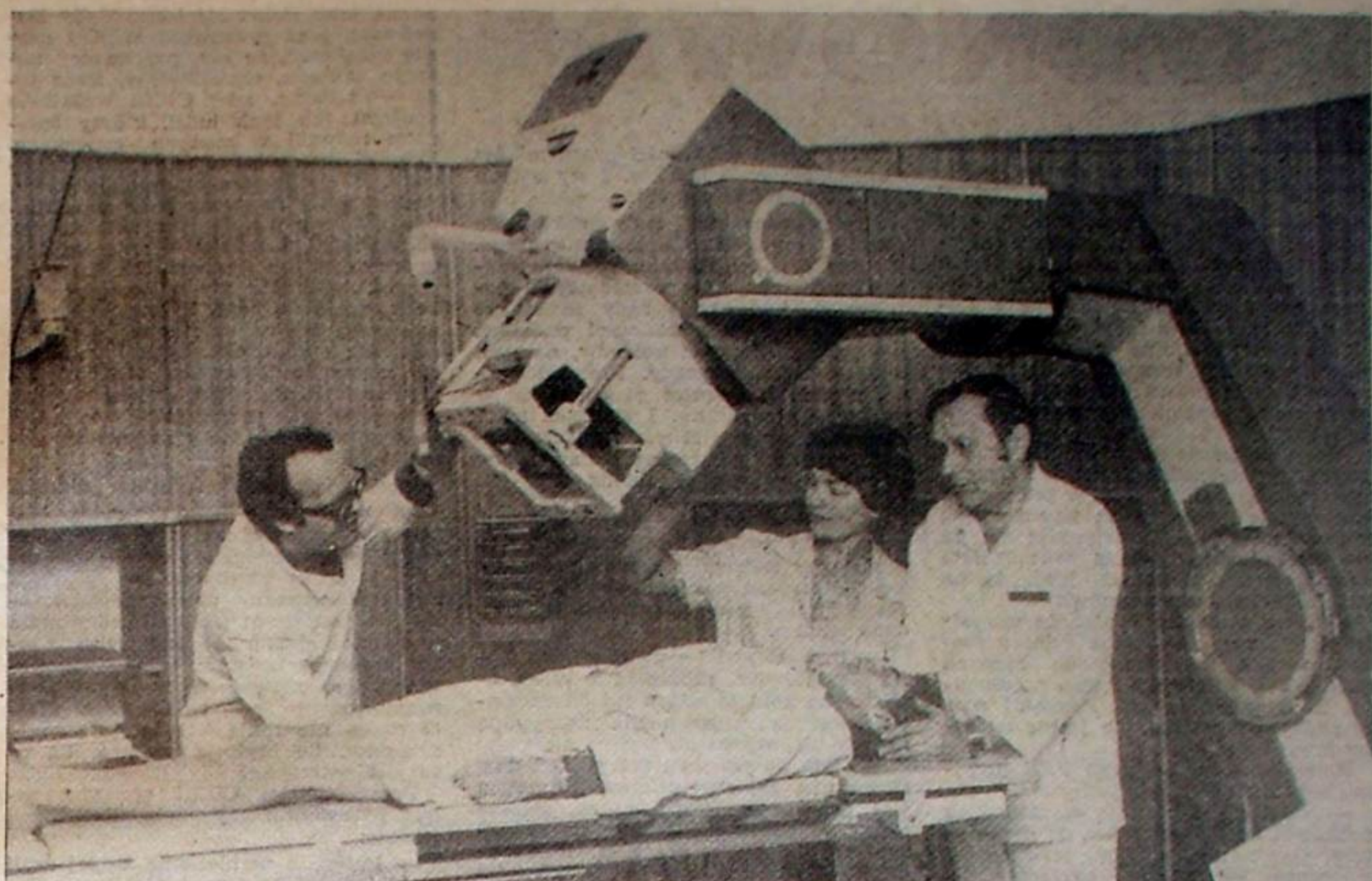
W latach 1905—1908, w pełnym oddaleniu od zasadniczego kompleksu budynków, wzniesiono dwie drewniane kaplice. W pobliżu rosną dziś piękne stare dęby.

Zespół sakralny św. Onufrego jest zabytkiem „żywym”. W klasztorze mieszkają zakonnicy prawosławni, w cerkwi odprawia się nabożeństwa.

(p)

Zdjęcia wykonał Waldemar Stępień. Przedstawiają one: portyk cerkwi, fragment ołtarza („carskich wrót”), ikonę św. Onufrego oraz scenki z odpustu.





Gammatron S

Fot. W. Stępień

WE wnęce hallu na półpiętrze Onkologicznego Specjalistycznego ZOZ w Lublinie, gdzie mieści się kawiarenka, przysiadam się do stolika, przy którym widzę młodo wyglądającą, ładną kobietę. Odnoszę wrażenie, że czeka na przyjęcie do szpitala, albo go opuszcza. Z rozmowy wynika, że co drugi dzień musi być naświetlana promieniami Rentgena. Będąc mieszkanką Hrubieszowa, chwali dyrekcję szpitala za zorganizowanie swego rodzaju hoteliku w bezpośredniej bliskości lecznicy

Technik elektrokardiologii, Jadwiga Adamczyk, naciska jeden z wielu guzików stolika sterowniczego i wpatrując się w ekran telewizora, na którym widać mężczyźnię z obnażoną klatką piersiową, mówi do mikrofonu — *Minęły trzy minuty naświetlania krtań... Proszę nadal leżeć spokojnie, za chwilę aparat automatycznie przesuśnie się nad drugie chore miejsce*

Słowo promieniotwórczość powtarza się tu wciąż, dosłownie słychać je, widać na każdym kroku. Jestem na oddziale dr. med. Ryszarda Patyry, czyli w bunkrze kobaltowym. Dwa aparaty firmy Simensa o nazwie Gammatron 3 i Gammatron S oraz tzw. źródła kobaltowe, czyli bomby — znajdują się w oddzielnej części szpitala przy ul. Jaczewskiego. Właśnie w bunkrze; pomieszczenie posiada kopułową kształt, a zbudowane jest ze specjalnego betonu, którego grubość ścian wynosi dwa metry! A na dachach wewnątrz, gdzie zainstalowano zachodnie, bardzo drogie aparaty — jeden wartości 70 tys. dolarów i najnowszy za 200 tys. dolarów — izolowane są grubymi ochronnymi wykładzinami z ołowiu. Z promieniami gamma, które pochodzą z rozpadu sztucznych izotopów promieniotwórczych o bardzo wysokiej energii, nie ma bowiem żartów; leczą, ratując życie poprzez zniszczenie złośliwego nowotworu, ale też osobę nieostrożną mogą narazić na utratę zdrowia.

Kiedy przy końcu sierpnia odwiedziłem szpital, konieczno tam instalowanie najnowszej bomby kobaltowej. Dla niej właśnie z reaktora atomowego w Dubnej w ZSRR specjalnie przystosowany transporter dowiózł do Lublina rzecz najważniejszą, czyli tzw. źródło kobaltowe: wałek o wymiarach zaledwie 2x2 cm, ale za to w ochronnym pojemniku z ołowiu ważącym niemal dwie tony!

— Jaki jest zasięg działania waszego Zespołu? — zwracam się do docenta dr. hab. Mieczysława Kwiatkowskiego, założyciela i dyrektora szpitala

— Zasięgiem naszej opieki obejmujemy około 2,5 mln mieszkańców makroregionu lubelskiego i województwa przemyskiego. Dla wygody chorych, ale i z konieczności, założyliśmy ho-

telik, bo łóżek mamy wciąż za mało, zaledwie 200. Droższa w porównaniu do innych szpitali jest też u nas kuracja, która przeciętnie trwa około miesiąca. U nas jeden chory zajmujący łóżko w roku 1978 kosztował 11 200 zł, gdy np. w podlubelskim Świdniku na internie — 4630 zł. A chorych z przeróżnymi nowotworami wciąż przybywa. Jeżeli w 1959 r. w naszym szpitalu leczyło się 523 pacjentów, a przychodnia objęła opieką ponad 6 tys. osób, to już w dziesięć lat później w szpitalu leczylimy ponad tysiąc chorych, zaś w przychodni liczba potrzebujących pomocy przekroczyła 15 tysięcy. W ubiegłym roku leżało na poszczególnych oddziałach 2267 kobiet, mężczyzn i dzieci, a przychodnia nasza obsługiwała aż 25 202 osoby. Natomiast do końca czerwca tego roku przychodnię odwiedziło ponad 14 tysięcy. Dla ogólniejszego zobrazowania powiem, iż w całym kraju notuje się rocznie 60 tysięcy zachorowań nowotworowych. I jeszcze dwie liczby: na całym świecie na raka umiera ponad 2 mln. ludzi, a około 5 mln dotkniętych jest tą chorobą.

Brzęczyk telefonu przerywa rozmowę. *Wszyscy chirurdzy zajęci? Dobrze, jeśli zabieg pilny, to ja założę igły radowe — rzuca docent do słuchawki.*

O podobnym zabiegu pisałem w roku 1959 na łamach „Kuriera Lubelskiego” kiedy to rad został sprowadzony do Lublina. Operacja niezbyt miła dla oka, męcząca pacjenta i lekarza, szczególnie wtedy, gdy igły mają wyleczyć raka wargi. Docent Kwiatkowski wyszedł, a ja udałem się do biblioteki szpitalnej, którą opiekuje się młody onkolog, lek. med. Bogusław Siwek.

— Doktorze, co to jest rak?

— W medycynie pod pojęciem „rak” rozumie się całą grupę zachorowań, charakteryzujących się niepowstrzymanym rozrostem komórek tworzących nowotwory złośliwe. Nowotwory zaś to rezultat trwałej reakcji organizmu na rozmaite czynniki zewnętrzne lub wewnętrzne, wrodzone lub nabyte, zasadniczo zmieniające przemianę materii w tkankach i komórkach. Wskutek tego może powstać ognisko nowotworowe, to jest właściwy nowotwór. A substancje wywołujące nowotwory zostały nazwane rakotwórczymi.

— Czy rak jest chorobą starą?

— Starą jak świat! Świadczy o tym fakty: w wykopaliskach na terenie Egiptu znaleziona została mumia faraona, który żył przed 4 tys. lat. Jego śmierć nastąpiła wskutek sarkomy — jest to jedna z nazw nowotworu — którą była dotknięta kość biodrowa faraona. Ba! opisy nowotworów znaleziono w papyrusach Elbersa, wiele wskazań dotyczących nowotworów złośliwych znajdujemy też w pracach Hipokratesa.

...
Z opowiadania Hemingway'a „Stary człowiek i morze”: *Starzec był suchy i chudy, na karku miał głębokie bruzdy. Brunatne plamy po nieznośnym raku, występującym wskutek odbłasku słońca na morzach tropikalnych, widniały na jego policzkach. Piły te biegnęły po obu stronach twarzy, a ręce miał porwane głębokimi szramami, powstałymi od wyciągania linką ciężkich ryb...*

Nad brzegiem Morza Karaibskiego, a także nad brzegami innych mórz spotyka się niemało takich rybaków, których skóra pod wpływem słońca, wiatru i słonych kropel wody zmienia nie tylko swoją barwę. Z początku pojawiają się na niej zgrubienia, nazwane hiperkeratozami, następnie możliwe jest powstawanie zmian przedrakowych, a w końcu prawdziwego raka skóry...

— Najskuteczniejsze w leczeniu raka skóry są u nas naświetlania promieniami Roentgena — mówi dr R. Patyra.

Przeglądałem się tym zabiegom, „podglądając” przez ochronne szyby chorych leżących w specjalnych kabinach. Takie naświetlania w zależności od rodzaju choroby trwają od kilku dni do 2-3 tygodni i dają spodziewane efekty.

Odmian nowotworów jest ponad 300. Na częstość ich występowania i rozwój w dużej mierze oddziałują m.in. warunki klimatyczne. Np. na półkuli południowej rak skóry występuje częściej niż na północy. Trudno stwierdzić zaś, dlaczego w Anglii na pierwszym miejscu występuje rak płuc, w Indiach rak jamy ustnej, a w Japonii rak żołądka.

— A u nas? — spytałem później docenta Kwiatkowskiego.

— Spośród ponad 300 rodzajów złośliwych nowotworów, na naszym terenie działania występuje 209 odmian. Najwięcej notuje się raka płuc; liczbowo przedstawia się to tak: w roku 1977 w Lublinie zanotowaliśmy 109 zachorowań, a w województwie 290 podobnych przypadków. Rok później odpowiednio 110 i 310, zaś w ubiegłym roku — 112 chorych w Lublinie i aż 325 w województwie. Na drugim miejscu pod względem zachorowań jest rak żołądka: w 1977 roku w Lublinie 54 przypadki, w województwie 202, w 1978 roku odpowiednio 62 i 232, natomiast w minionym roku — 55 i 214. Trzecie miejsce zajmują nowotwory sutka i narządów rodnych. Bardzo dużo notujemy i leczymy, na ogół z dobrym skutkiem, raka skóry: w 1979 roku w Lublinie 43, a w województwie 120 zachorowań. Niestety, sporo jest też białaczek.

Rozmowa trwa długo. Pijemy herbatę. Zapelniliśmy niedopalkami sporą podłóżkę. Pytam lekarzy, dlaczego palą i to dużo? Przecież panuje

zgodna opinia, że tytoń jest rakotwórczy, a z polskich papierosów najbardziej szkodliwe są „Carmeny”. Słyszę zgodną wypowiedź, że palenie nie równo paleniu. Wiele zależy właśnie od tego, jakie gatunki papierosów się pali, to samo dotyczy cygar i fajki.

Najlepiej jednak nie palić. Dawnymi czasy — ze względów religijno-obyczajowych — stosowano drastyczne kary dla nalogowych palaczy. Jak pisał doc. Kwiatkowski — w Oxfordzie widnieją ryciny, przedstawiające egzekucję za palenie tytoniu w Wielkiej Brytanii w XVI wieku. Ścięte głowy palaczy z fajką w zębach były wtedy wystawiane na widok publiczny. Papież Urban VII rzucił kłótnię kościelną na palaczy. Natomiast w Rosji, gdzie tytoń dostał się na początku XVIII w. podczas panowania Michała Romanowa, za palenie także ścinano głowy, a mienie odbierano. We Francji za czasów Ludwika XIII nałóg tak się rozprzestrzenił, iż monarcha w roku 1680 wydał specjalne zarządzenie, mocą którego prawo sprzedaży tytoniu miały tylko... apteki. Na czym polega — wedle dzisiejszej wiedzy medycznej — zasadniczo zło palenia?

Otóż wypalenie 20 sztuk papierosów wprowadza do organizmu 0,09 grama nikotyny, 0,32 g — amoniaku, 0,0006 g — kasu arsenowego i 369 cm sześć. tlenu węgla. Są to substancje trujące. Bardzo istotne jest i to, że wypuszczając kłęby dymu, zatrąwa się otoczenie chemicznym związkami nazwanym benzopirenem. Warto też wiedzieć, że na końcu palonego papierosa temperatura wynosi do 500-600 stopni C. Stąd często spotykane raki wargi i jamy ustnej u palaczy. Podobnego nowotworu nabawić się można, pijąc często gorącą herbatę.

— Personel szpitala narażony jest wciąż na napromieniowanie, czego skutkiem bywają białaczki, niepłodność etc. Czy nie boicie się panowie pracy na onkologii? — stawiam lekarzom ostatnie pytanie.

— Taką wybrałmśmy — słyszę odpowiedź. — Na szczęście badania specjalistyczne, które przechodzimy co pół roku, jak do tej pory były i są pomyślne dla całego personelu. Obiecano nam jednak dłuższe urlopy, ale na obietnicach się skończyło. I jeszcze jedno: nie pobieramy żadnego dodatku pieniężnego za pracę w warunkach szkodliwych.

Informacja na koniec — z GENERAL MOTORS RESEARCH FOUNDATION w Nowym Jorku nadesłano kilku lubelskim lekarzom-onkologom i radiologom zaproszenie do udziału w konkursie na temat nowotworów. Nagrody: jeden z trzech medali i 100 tys. dolarów.

Dokończenie ze str. 3

dzisiaj — mówi — że wiele osób żyje naszym kosztem. Ale nie można całkowicie skrytykować dotychczasowych związkowców. Mogę powiedzieć, że na przykład inspektor Puskiewicz z Lublina to człowiek z życia wzięty i każdemu pomaga. Ale na ogół rady zakładowe wykazują skrajną niewiedzę, ba, w majestacie prawa ukrywają nieprawidłowości popełniane przez członków dyrekcji.

Wiele do powiedzenia ma też przedstawiciel puławskich „Azotów”. Uzgodnił tam, że jeśli załoga w większości nie poprze komitetu założycielskiego, rozwiąże się on, ale orientują się, że większość załogi jest za stworzeniem samorządnych związków. Mają to na piśmie. Przedstawiciel mówi:

— Chcę wam powiedzieć, że wszystko załatwicie, ale trzeba działać rozsądnie. Nie dopuszczać do żadnych przestępstw. Nie używać tego argumentu. PKS w Puławach! Pamiętaj pan, w żadnym wypadku. To jest ostateczny argument!

Robotnik z puławskiego PKS przyjmuje te słowa ze zrozumieniem.

— Niektórzy zaczynają w zakładach dyskutować o kierownikach, do dyrektorów. Odmawiając poleceń, jeśli chodzi o pracę — wtrąca przedstawiciel „Elektromontażu”. — I tu byłoby wskazane tłumaczyć, nie tędy drogą! — Nie może być do nas żadnych obiektywności — dopowiada ktoś inny.

Tyle o dyscyplinie, powraca temat referowania sytuacji w zakładach.

— Chodziłem z listą i pytałem: „Chcesz należeć do nowych związków?” — relacjonuje inny robotnik. — A za mną szła mistrzyni i mówiła ludziom, niech się nie zapisują, bo trzeba będzie 10 proc. poborów płacić.

Ta uwaga wywołuje ogólny śmiech na sali.

Zbliża się godzina dwudziesta. Kończy się sprawozdawcza część zebrania. Pada propozycja, by wypowiedział się przedstawiciel CRZZ.

— Chciałem państwu podziękować za wyrażenie zaufania i pozostawienie mnie tu większością głosów — mówi przedstawiciel WRZZ i CRZZ (bo jest też członkiem plenum Centralnej Rady). — Jako jeszcze pracownik FSC i później jako pracownik i działacz Związku Zawodowego Metalowców byłam i jestem szczerze związany ze wszystkimi sprawami, które były i są najbliższej klasy robotniczej. Wszystko, co rodzi się nowe, rodzi się zazwyczaj trudno, w bólach, kłopotach, przy pewnej nieświadomości, co tu dużo

mówić, wśród większości pracowników poszczególnych zakładów. I wy o tych kłopotach żęście mówili.

Nie patrzmy na rady zakładowe przez pryzmat przewodniczącego. Trudno dziś, w stadium rozwoju niezależnych związków zawodowych, powiedzieć, jakie będą rady za lat 10 czy 15. Stąd też, szanowni państwo, nie karśmy naszych kolegów, naszych współtowarzyszy pracy. Przecież każdy z nich nie został przyniesiony w pudełku, a wybrany. I stąd też mam serdeczną prośbę, żebyście pod czas organizowania niezależnych związków nawiązali robotniczy dialog tak, jak to robią pracownicy w FSC, w WSK, i chciałbym złożyć naszym współtowarzyszom pracy, tym, którzy organizują coś nowego, co ma przynieść lepsze, szybsze rozwiązanie dla klasy robotniczej, jak najserdeczniejszych dużo życzeń.

— Dwa słowa! — prosi o głos Zofia Bartkiewicz, robotnica z WSK, energiczna kobieta, która już na początku zebrania wprowadziła dyscyplinę między mężczyznami.

— Mam do państwa wszystkich dwa słowa nim się rozejdziemy. Potrzebna jest przede wszystkim praca, solidna praca, to podstawa. Jestem za nawiązaniem dialogu z dyrekcją. Dalej — prośba do przedstawicieli związków zawodowych. Ładnie pan tu powiedział, że można się dogadać. Żeby to jeszcze ładniej było — niech to będzie partnerstwo. Niech, jeśli my przedstawimy swoje problemy na wydziale — oni przedstawiają uczciwie, jak my, swoje. I będzie wszystko grało. I wtedy zdecyduje naród. Żeby nie było roboty...

— ...kreciej — dopowiada ktoś z boku.

— Ja ciebie o podpowiadanie nie proszę! — usadza go mówiąca i zwraca się do przedstawiciela CRZZ: — Tak jak pan powiedział nie możemy wszystkich wsadzić w jeden worek. Wiemy, że to ludzie tacy sami, jak my, tylko ludzie, którzy z tych czy innych względów podporządkowali się nie tak, jak sobie robotnik, czy pracownik życzył. I dziwi nas fakt, że ci ludzie, nasi koledzy, nie mogą tego pojąć i utrudniają pracę innym.

Jestem jeszcze w tej chwili w związkach zawodowych CRZZ i jedna nana powinna przyswiecać racja, nie swoja własna prywatna, tylko dobro zakładu. Bo jeśli my chcemy stworzyć związki samorządne, to nam chodzi o to, żeby nasz zakład był zakładem naszym! Żebyśmy współdziałali z dyrektorem i ze wszystkimi.

Zwracam się do pana jako członek

partii, jako radna Miejskiej Rady Narodowej, jako pracownik WSK i proszę przekazać, że my, pracownicy naszego zakładu, chcielibyśmy, mało tego — żądamy, żeby CRZZ wnikliwie spojrzęła na tych ludzi, którzy bałaganu narobili w naszych związkach. Żeby ci ludzie przed nami, związkowcami, bo ja jeszcze mam legitymację, rozliczyli się ze swych poczynań. Między nimi są ludzie uczciwi, ale są chorągiewki i pątyki — nie wiedzą, w którą stronę się pochylić. Brak im czegoś, właściwie nie wiem, czego im brak, czego się boją. Mówią: temu nie zależy na stołku, tamtemu, ten nie miał nic z tego, ale siedzą i trzymają się kurczowo. Teraz my nie pozwolimy im zejść ze stołka, dopóki naszych związków nie utworzymy, bo jakś bałaganu narobili, to z niego i wyprowadźcie!

Rozlegają się króciutkie oklaski, rzadkość na tej sali.

— Co w tej chwili robi CRZZ? — mówi przedstawiciel FSC. — Zarzucani jesteśmy papierem. — Wyciąga z teczki obszerny pakiet druków. — To już jest drugi projekt, który mam w ręku. Podobno już jest trzeci. Proszę zobaczyć objętość tego. „Metalowiec” jest rozłożony wózkami akumulatorowymi po zakładzie. A dzieci nasze nie mają książek, nie mają zeszytów, bo brakuje papieru. Po co to jest potrzebne?

Przedstawiciel CRZZ opuszcza salę. Przewodniczący zebrania mówi jeszcze:

— Proszę o wyniesienie z tej sali przekonania nie o wrogości, ale gorzkich słów prawdy, wyrazów rozczulenia na nieudolną działalność. Nie mniej chcemy wyrazić podziękowanie tym, którzy umieli zająć właściwe stanowisko wobec świata pracy.

Zaczyna się debata nad nazwą powołanego komitetu — nad pracami przy uchwale, nad wyborami komitetu i prezydium. Dochodzi dwudziesta pierwsza. Na twarzach ludzi widać zmęczenie ale i stanowczość. Żarliwość dyskusji nie słabnie. Przedstawiciel FSC stawia kandydaturę Czesława Niezgody na przewodniczącego.

W głosowaniu zgromadzenie aprobuje trzyosobowy skład prezydium, przy jednym głosie wstrzymującym się. Jest kilka minut po dziewiątej. Komitet udaje się do osobnej sali opracować tekst uchwały.

Godzinna przerwa. Nikt nie opuszcza budynku. Tworzą się dyskutujące grupki. Mówi się o różnych robotniczych sprawach. Jeden z robotników ze Świdnika powiada nagle:

— Słuszne są idee Lenina, ale trzeba je spełniać i trzymać się ich.

Wszyscy cierpliwie czekają na zakończenie obrad komitetu. Powoli bliżej minuty. Wreszcie drzwi otwierają się. Członkowie komitetu wchodzą na salę obrad.

Sala milknie i w zupełnej ciszy następuje odczytanie projektu dokumentu: „Działając na zasadach zawartych w protokole porozumienia podpisanego w Stoczni Gdańskiej dnia 31 sierpnia 1980 r. oraz uznając kierowniczą rolę partii i praworządność państwa socjalistycznego, komitety założycielskie NSZZ zakładów pracy regionu środkowo-wschodniego postanowiły utworzyć dnia 10 września Międzyzakładowy Komitet Środkowo-Wschodni Założycielski NSZZ z siedzibą w Lublinie”.

Wymieniony zostaje skład Komitetu oraz prezydium — Czesław Niezgoda, Stanisław Daniel, Ryszard Kuć. W dalszej części uchwała mówi o tym, że lista Komitetu pozostaje otwarta dla przedstawicieli tych zakładów i środowisk, które zgłoszą akces o przynależności do niezależnych samorządnych związków zawodowych, jeśli ci przedstawiciele zostaną wybrani demokratycznie i przy nieskrępowanej woli. Uchwała podkreśla, że Komitet zakończy działalność z chwilą przeprowadzenia wyborów do NSZZ; znajduje się w niej też apel Komitetu do wszystkich zakładów i środowisk pracy o wzmocnienie wysiłku produkcyjnego przy każdym warsztacie i na każdym stanowisku pracy.

Gdy kończy się czytanie uchwały, wstaje wiceprzewodniczący komitetu, Stanisław Daniel, i zwraca się do zebranych:

— Apeluje do swojej załogi i przez was do wszystkich załóg, niech będzie porządek w zakładach! Jeśli spełnione będzie to o co występujemy, prosimy o wzmoczoną wydajność, o zadokumentowanie, że jeśli nas potrafia zrozumieć, my potrafimy również zrozumieć intencje naszego rządu i naszej partii.

Rozlegają się oklaski.

— Będziemy się starali jak najlepiej, jak najofiarniej pracować — zapewnia jakiś robotnik z sali.

Wstaje przewodniczący, Czesław Niezgoda:

— Proponuję, abyśmy zakończyli uroczystość odśpiewaniem naszego hymnu narodowego. Ale że jest już po godzinie dwudziestej drugiej, to raczej cicho.

Rozbrzmiewa: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”.

W sali, na korytarzu i przed budynkiem serdeczne pożegnania. Postacie ludzi giną w mroku.

Bronisław Kowalski
Marian Buczek

Mówić prawdę, rzetelnie służyć narodowi

REZOLUCJA PODJĘTA NA ZEBRANIU LUBELSKICH DZIENNIKARZY

MY, dziennikarze, uczestnicy zebrania zwołanego przez lubelski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w dniu 19 września 1980 r. dla przedyskutowania najważniejszych spraw naszego zawodu i jego miejsca w życiu społeczno-politycznym kraju, przyjmujemy niniejszą rezolucję.

Lublin i cały nasz region były w lipcu i sierpniu 1980 roku miejscem strajków załóg stu kilkudziesięciu zakładów pracy. W dniach tych nie danym nam było — o czym dziś mówimy z goryczą — przedstawić pełnego obrazu wydarzeń, ani wyrazić swojego stosunku do nich. Dlatego dzisiaj dopiero, choć zbyt późno — czego mamy pełną świadomość — wyrażamy głęboki szacunek robotnikom naszego regionu, polskiego Wybrzeża i całej klasie robotniczej za to, iż w sposób godny wiodącej siły narodu stanęła w proteście przeciw wypaczeniu, w obronie istotnych zasad demokracji i socjalizmu, w obronie ludzkiej godności Polaków.

Wierzymy, że umowa zawarta między rządzącymi a społeczeństwem dotrzymana zostanie w każdym punkcie. Umowa ta zawiera również warunki prawidłowego funkcjonowania środków masowej informacji oraz systemu cenzury. Podobnie jak koledzy ze środowisk: Krakowa, Białegostoku, Gdańska i Warszawy uważamy, że musimy mieć prawo współdecydowania w tworzeniu nowego modelu propagandy w PRL. Żadamy stworzenia warunków do mówienia prawdy i przekazywa-

nia społeczeństwu rzetelnej informacji, warunków, których do dziś w pełni nie mamy. Bo tylko w ten sposób, jako dziennikarze, możemy rzetelnie służyć narodowi, utrzymywać wartości moralne, wzbogacać jego kulturę.

Komisja Wniosków i Postulatów powołana na zebraniu Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w dniu 19 września 1980 r. sformułowała następujące postulaty przyjęte przez zebranych:

1. Zwolnić w jak najkrótszym terminie nadzwyczajny walny Zjazd Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich na wniosek środowiska dziennikarskiego.

2. Przekształcić Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich w niezależny, samorządny zawodowo-twórczy związek dziennikarzy polskich, przy zachowaniu jedności ruchu dziennikarskiego. Nazwę, warunki przyjęcia członków, ich prawa, obowiązki oraz cele, zadania i strukturę związku określili nowy statut przyjęty na Zjeździe.

3. Za jedno z pierwszoplanowych zadań nowej organizacji dziennikarskiej należy uznać odbudowę prestiżu zawodu dziennikarza poprzez:

— ochronę godności zawodowej,
— ochronę dobrej wiary,
— ochronę dziennikarza, który odmówi wykonania polecenia służbowego niezgodnego z sumieniem autora,
— uznanie ideowości i kompetencji dziennikarza.

4. Związek zawodowo-twórczy dziennikarzy pol-

skich powinien w sposób wiążący opiniować kandydatury dziennikarzy na redaktorów naczelnych.

5. Zespołom redakcyjnym powinno przysługiwać prawo wnioskowania o odwołanie redaktora naczelnego do instancji związku zawodowo-twórczego dziennikarzy polskich.

6. Traktować kwalifikacje, wkład pracy oraz wartości ideowe i moralne dziennikarzy jako podstawowe kryterium ocen, awansów i przeszerogowań dziennikarzy.

7. Stworzyć warunki i gwarancje respektowania istniejących aktów prawnych o prawie dziennikarza do informacji, a równocześnie przyspieszyć pracę nad nową ustawą o prasie i cenzurze. Do czasu prawnego uregulowania zasad pracy cenzury, ograniczyć jej działanie do spraw podstawowych dla ustroju, państwa, kierowniczej roli Partii oraz polityki zagranicznej.

8. Niezależnie od zajmowanego stanowiska zapewnić wszystkim dziennikarzom jednaki dostęp do informacji.

9. Zgodnie z przyjętymi porozumieniami rządu z klasą robotniczą udostępnić środki masowej informacji dla prezentacji wszystkich problemów związanych z treścią tych porozumień.

10. Uregulować jak najszybciej status prawny prasy zakładowej i branżowej poprzez przejęcie jej przez RSW Prasa — Książka — Ruch.

11. Zapewnić prasie niezbędną ilość papieru i bazę poligraficzną na poziomie odpowiadającym potrzebom czytelników.

Magia

Aleksander Mora

NAJPOTĘŻNIEJSZA spośród znanych sił przyrody jest energia zawarta w atomie. Siły elektromagnetyczne są około 100 razy słabsze od tych, które związane są z energią jądrową. Ale siły grawitacji są znacznie, bo aż 10²⁸ razy słabsze niż siły elektryczne i 10³⁴ razy słabsze od jądrowych.

Jest paradoksem, że te najslabsze siły są najtrudniejsze do opanowania, ponieważ najmniej o nich wiemy. Zjawisko grawitacji zajmuje w fizyce wyjątkowe miejsce. A co jest szczególnie ciekawe:

— odkrycia dokonane w fizyce atomu nie spowodowały automatycznego wyjaśnienia zjawisk grawitacyjnych, lecz wprost przeciwnie — wywołały powstanie całego szeregu nowych problemów.

Gdyby tylko można było izolować rzeczy od wpływu pola grawitacyjnego, wówczas stałyby się one nieważkie. Dotychczas jednak wszystkie wysiłki do tego zmierzające okazały się bezowocne. Gdyby udało się opanować zjawiska grawitacji, życie nabrałoby zupełnie innego kształtu. Samochody, pociągi, okręty, samoloty stałyby się niepotrzebne i można by je przenieść do muzeów. Trawa poroślałaby drogi i autostrady. Domy pływałyby w powietrzu, zaś ludzie latałby niczym ptaki. Jednakże te szalone dni wydają się odległe i chociaż badania naukowe w zakresie antygravitacji prowadzone są w szeregu państw, to rozwiązanie tej tajemnicy, a tym bardziej jej opanowanie, dalekie jest od pozytywnego zakończenia.

Znany jest jeden zasadniczy aspekt grawitacji, a mianowicie ten, że zmienia się ona wraz z masą ciała.

Pewne najbardziej nieprawdopodobne przekazy starożytne dotyczą lewitacji lub mocy pozwalającej na neutralizację grawitacji. Francois Lenor-

ant pisze w swoim dziele pt. „Chaldean Magic” (Magia Chaldejska), że za pomocą dźwięków pobliż starożytnego Babilonu potrafili powodować unoszenie się w powietrzu ogromnych brył skalnych, których nie mogłyby unieść tysiące robotników.

A może to właśnie w ten sposób wznoszono Baalbek. Te gigantyczne bloki pozostawione w kamieniołomie, znajdującym się u stóp terasy Baalbeku zbudowanej przez Tytanów, mają wymiary wynoszące 21 metrów długości, 4,8 metra szerokości i 4,2 metra grubości. Potrzeba byłoby czterdziestu tysięcy robotników, aby poruszyć tak ogromną masę. Powstaje pytanie, jak taki tłum ludzi mógłby w ogóle znaleźć dostęp do tego bloku, aby go unieść. Nawet obecnie, w tej epoce wspaniałych technologii, nie istnieje dźwig, który mógłby podnieść ten skalny blok z kamieniołomu.

Niektóre źródła arabskie podają dziwne legendy mówiące o sposobie, w jaki wznoszone ponoć były piramidy egipskie. Według jednej z tych legend, olbrzymie bloki kamienne owijano papirusem, a następnie kapłan uderzał w takie bloki prętem. Stawały się one wówczas nieważkie i przesuwały się w powietrzu na odległość około 50 metrów. Wówczas kapłan powtarzał całą procedurę dotąd, aż kamień dotarł do piramidy i został umieszczony na właściwym miejscu. Wyjaśniałoby to brak odłupanych krąwek na kamiennych blokach oraz ich tak ściśle dopasowanie, że pomiędzy dwa bloki kamienne nie można wcisnąć nawet kartki papieru. Dotyczy to szczególnie najstarszej, a jednocześnie najlepiej zachowanej, piramidy Cheopsa, która jeśli nawet nie jest już najwyższą budowlą na świecie, to ciągle stanowi największą strukturę megalityczną istniejącą na Ziemi.

Babilońskie i sumeryjskie tabliczki klinowe potwierdzają, że dźwięki słu-

żyć mogą do unoszenia kamiennych bloków. Biblia mówi o Jerycho, oraz o tym, co fale dźwiękowe uczyniły z jego potężnymi murami. Koptyjskie zapisy wspominają proces, w którym kamienne bloki przeznaczone do budowy piramid były unoszone za pomocą dźwięków powstających podczas śpiewu. Jednakże przy obecnym poziomie naszej wiedzy nie możemy ustalić jakiegokolwiek związku pomiędzy dźwiękiem (fale akustyczne) a nieważkością (antygravitacją).

Pośród znanych i sławnych adeptów magii posługujących się między innymi sztuką lewitacji (antygravitacji) notujemy na początku naszej ery SZYMONA MAGA, który miał ponoć moc czynienia cudów.

Szymon Mag był pochodzącym z Samarii Żydem. Nauki pobierał u Dositheusa, który sam uważał się za istotę niemal boską i za mesjasza. Szymon był pilnym uczniem, dlatego też jego mistrz powierzył mu wszystkie swoje umiejętności, a także wprowadził go w arkana wiedzy tajemnej. Potrafił więc Szymon lewitować, hipnotyzować, poruszać i manipulować przedmiotami z dużej odległości, a także kierować ludźmi; miał też przewidywać przyszłość oraz czynić się niewidzialnym.

Ponieważ swoich umiejętności nie taił, a przeciwnie, popisując się nimi raczej, wkrótce fama o jego czynach, naturalnie wielokrotnie przesadzona, rozeszła się szeroko, wskutek czego niebawem zaczęto uważać go za istotę boską. A był to czas, kiedy apostołowie rozpoczęli głosić Ewangelię i w trakcie jej głoszenia niejednokrotnie czynili „cuda”.

Legenda mówi, że Szymon Mag ujrawszy je, zwrócił się do Świętego Piotra z propozycją odkupienia od niego za pieniądze sekretu dokonywania cudów. Jednak ta propozycja spotkała się z odmową. Szymon był rozczarowany i oburzony do tego stopnia, że nie tylko zerwał z apostołami, lecz zaczął ich zwalzczać i ośmieszać.

Wraz ze swą ukochaną, Heleną, którą nazywał Seleną, ponieważ była piękna jak księżyc, udał się do Rzymu, gdzie został serdecznie przyjęty przez cesarza Nerona, do którego już wcześniej dotarła sława Maga. Tutaj Szymon był częstym gościem Nerona i uczestnikiem wydawanych przez cesarza uczt, w trakcie których demonstrował swoje umiejętności mediuczne, lewitacyjne, prorocze i telepatyczne. Wkrótce też stał się ulubień-

cem nie tylko cesarza, lecz i całego Wiecznego Miasta.

Jednak, jak głosi legenda, Święty Piotr postanowił rozprawić się ze swoim antagonistą, pozbawić go popularności i wpływu na cesarza. W tym celu udał się do Rzymu. Neron, już wcześniej powiadomiony o tym, że drugi wielki czarodziej zbliża się do miasta, postanowił zaprosić go na dwór i zorganizować zawody dwóch najslawniejszych magów cesarstwa. I rzeczywiście, kiedy Szymon podczas cesarskiej uczy ujrzał Świętego Piotra, zawrzał gniewem, doszło do ostrej wymiany słów, w trakcie której Szymon, być może, chcąc wykazać swą wyższość lub zwrócić na siebie uwagę tłumów i dostojnych gości, wyskoczył przez okno i zaczął lewitować na dużej wysokości, wznosząc się coraz wyżej. Wszyscy obecni zamarli z podziwu, szacunku i uwielbienia. Tylko Święty Piotr w natężeniu odmamił pacierze. Nagle Szymona opuściła moc i zdolność lewitacji, runął z wielkiej wysokości na ziemię i zabił się. Neron, uważając, iż to Święty Piotr jest sprawcą śmierci Maga, kazał wtargnąć go do więzienia.

Dla nas zjawisko nieważkości nie jest już czymś tak bardzo tajemniczym i cudownym. Zdołaliśmy się do niego w pewnym stopniu przyzwyczaić, obserwując za pośrednictwem telewizji ewolucje astronautów w kabinach statków kosmicznych. Musi więc istnieć jakieś naukowe wyjaśnienie faktu, że niektórzy ludzie potrafili w przeszłości osłonić siebie i przedmioty od działania sił ziemskiej grawitacji.

W starożytności współcześni uczeni z pewnością uznani byłiby za magów. Wydaje się, że słusznym w wielu wypadkach byłoby także twierdzenie odwrotne, iż magowie dnia wczorajszego byli częstokroć uczonymi. Właśnie Szymon Mag — filozof i gnostyk — był prawdopodobnie człowiekiem tego rodzaju. Ten żydowski myśliciel twierdził, że ogień był prastara, pierwotną przyczyną widzialnego świata, ogień, który miał charakter diwoisty. Wydaje się, że jest to po prostu definicja atomowej struktury materii i jej polarności.

Chociaż historycy chrześcijańscy nie byli pewni co do źródeł mocy i wiedzy Szymona, to przypisywano mu jednak z całą pewnością umiejętności lewitacji. Mówiło się o nim ponadto, że potrafił nakazać nosagom, aby straciły ciężar i unosiły się swobodnie w powietrzu.

c. d. n.

Vox bezkonkurencyjny

USZYBKU lata przechodzi zwykle chwila refleksji nad stanem naszego posiadania w branży rozrywkowej. Pieloczą wtedy kto może, nie bez powodów zresztą. Jak humerang powracają bowiem znane od lat tematy — miernota wykonawców, indolencja twórców estradowej strawy i organizatorów festiwałów, miałość proponowanych treści i zwyczajna nuda triumfująca wśród wystrojonych wystrzałowo gwiazd i gwiazdeczek. Pokłosie letnich festiwałów nie jest bynajmniej budujące. Wciąż liczymy na wykonawcę, który mógłby rzucić światowe gwiazdy na kolana i zachwycić zachodniego melomana. Liczymy, a rachuby te, jak na złosć, okazują się płonne. W tym mniej więcej duchu utrzymana jest większość pofestiwalowych recenzji. Odnoszę jednak wrażenie, że do czasu.

Oto bowiem bez specjalnych fajerwerków reklamowych działa w naszym kraju grupa, która repertuarem i perfekcyjnością wykonania smialo może konkurować z renomowanymi sławami wokalistyki. Myślę o kwartecie Vox. Podczas ostatniego, jubileuszowego festiwalu piosenki w Sopocie Vox wyśpiewał pierwszą nagrodę w konkursie wytwórni fonograficznych. Nagroda ta nie była zaskoczeniem dla uważnych obserwatorów naszego życia muzycznego. Już podczas festiwalu opolskiego zespół pokazał, że stać go na bardzo dużo. Wcześniej zaś otrzymał podwójną nagrodę na festiwalu Bratysławska Lira. Ten działający zaledwie półtora roku kwartet rezerwistów, przywodzący na myśl zespoły z lat trzydziestych, zadziwia nie tylko sprawnością głosową, ale i temperamentem, obyciem estradowym, swobodą w tworzeniu scenicznego show, oraz bardzo rozległym repertuarem. Aż nie chce się wierzyć, że Vox również doskonale sprawdza się w swingujących tematach, co i dyskotekowych numerach, markujących dobrze znany melomantom zespół Bee Gees.

Oczywiście, nie wzięto się to z powietrza. Dzisiejsze powodzenie okupili członkowie Voxu rzetelnym przygotowaniem muzycznym i ciągłą pracą w mieście, pracującą z orkiestrą Alex Band. Niebagatelne znaczenie miał też fakt, iż kierownictwo artystyczne grupy objął Marek Skolarski — niegdyś szef eksperymentalnego Klubu, człowiek znakomicie zorientowany w wymaganiach show biznesu. Zanim Vox pojawił się na ubiegłorocznej Międzynarodowej Wiosnie Estradowej, która od razu ujawniła jego siłę przebicia, czterej wokaliści przeszli musielni nuzące próby głosowe, orkiestrowe i taneczne. Od początku bowiem zakładano, że cecha Voxu będzie perfekcja wykonawcza.

Pracowite przygotowania grupy nie są czymś niezwykłym w gronie estradowej trójki. Taki treningowy reżim towarzyszy debiutowi niemal każdej grupie zachodniej.

Naiwnością byłoby sądzić, że uzdolnieni ludzie spotykają się przypadkiem na ulicy i już po tygodniu czy miesiącu grają i śpiewają niczym stare wygi estradowe. Pisała o tym kiedyś w swych pamiętnikach znakomita piosenkarka francuska Francois Hardy. Na sceniczny debiut pracowała tak długo i mozolnie, iż kilkakrotnie chciała wycofać się z kampanii, jaką wymyślił dla niej manager. Podobnie dzieje się z każdym, kto poważnie myśli o zarabianiu na życie śpiewaniem. Samorodne talenty działające na starej zasadzie z „głupia frant” mogą zdarzać się tylko u nas. Na Zachodzie nikt nie pozwoliłby sobie wpuścić do studia nagraniowego wykonawcy, który nie ma najmniejszego pojęcia o dykcji, emisji głosu, czy interpretacji, lub do telewizyjnej piosenkarki, która nie potrafiłaby z równą gracją śpiewać, tańczyć, recytować.

Nasze wymagania stawiane kandydatom na gwiazdora są o wiele bardziej liberalne, stąd pojawiają się później artyści jak ze zlego snu, bakający pod nosem jakas piosenkę, której tekst wprawia w osłupienie literaturoznawców. Dysponując miernotami, zaludniającymi z powodzeniem małoliateczkowe sceny, nie możemy nawet marzyć o podboju zagranicznych, zwłaszcza zaś dolarowych rynków. Dziwimy się nieudany problem na Zachodzie naszych „sprawdzonych” gwiazd, zapominając zupełnie o ich niedomogach warsztatowych i językowych. Goszczący w Polsce przy różnych okazjach zachodni impresariowie wprost nadziwili się nie mogą rozległości naszego życia estradowego i ilości zdolnych piosenkarzy, których należałoby zacząć intensywnie... dokształcać. Nie bez powodu co przytomniejsi wykonawcy (vide Krawczyk) wyjeżdżają ostatnimi czasy do Europy Zachodniej i USA, by tam uczyć się sztuki wokalne i ruchu scenicznego u poważnych fachowców. Nie jesteśmy narodem specjalnie muzykalnym — winniśmy zatem być bardzo pracowici. Niestety, jest to wołanie na puszczy, bo większość rodzimych sław niewiele sobie robi z własnym, jaskrawo widocznym brakiem, zbijając kabzy na krajowej estradzie. Tutaj wszystkie chwytły są dozwolone. Z powodzeniem mogą egzystować Janusz Laskowski, Lidia Stanisławska, Happy End, Wawele, a nawi wykonawcy pielęgnujący, obsługujący imprezy bhp-owskie i przeciwpożarowe.

Grupa Vox, czyli Ryszard Rynkowski, Witold Paszt, Andrzej Kozioł i Jerzy Słota, stanowi na tym tle godny pochwały ewenement. Sopotni sukces jest tego wystarczającym potwierdzeniem. Planami zespołu żywo interesowali się obecni na festiwalu zachodni impresariowie. Można więc liczyć na rychłe kontrakty wyjazdowe. Rzetelne przygotowanie Voxu jest dobrym gwarantem powodzenia grupy. W ślad za nim powinien pójść jeszcze



VOX (Polska)

Fot. CAF

przemysłany repertuar eksportowy dowodzący, że są też sprawni poligloty. Sopotni sukces lubianej w kraju grupy zbiegł się z premierą jej pierwszego longplaya, wydawanego bardzo starannie przez Tonpress. Wprawdzie na dotarcie do lubelskich sklepów musimy na niego jeszcze trochę poczekać, ale już dziś rokuje mu miano best-sellera. Z taką precyzją i wdziękiem śpiewa u nas niewiele.

Istvan Grabowski